

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Janusz Głowacki

**NOWY TANIEC
LA-BA-DA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

POLOWANIE NA MUCHY

Zanim Włodek wyszedł na ulicę tego wieczoru, a był to maj, dwudziesty piąty, godzina dwudziesta, dzień raczej ciepły, i zanim zatrzymał się w kilkanaście minut później przed klubem, gdzie stało kilka samochodów, skuterów oraz grupy osób w jego wieku i znacznie młodszych, siedział w domu i przepisywał biurową korespondencję na wypożyczonej z biura maszynie rosyjskiej, pod oknem zaś, w tym samym pokoju, leżała na przykrytej kolorowym kocykiem amerykance Hanka, która była jego żoną. Przed nią na dywanie nieco wytartym bawił się sześciolatek Ewek, który był jego synem, a trochę w lewo, półtora metra przed telewizorem, pochylał się z napięciem do przodu ojciec Hanki, kierownik szkoły; do którego Włodek nie mógł się nauczyć mówić „ojcze”, podobnie jak ciągle nie mógł zacząć nazywać matką teściowej, tęgiej stenografki, zajętej właśnie przyrządzaniem kolacji.

„Głęboko uważamyje Towariszcz!

W swiazi s Waszym pismom ot 7-2-68 soobszczajem, czto my wysłali Wam 15 intieriesujuszczich Was izdanij. Niedostajuszczije Wam jeszcze knigi, a imienno:

1. *Hornby Albert Sydney. «Oxford progressive English for adult learners.» London. Oxford Univ. Press.*

2. *Prejbisz A., Jasińska B. «Gramatyka angielska w ćwiczeniach»...*”

– „...Lud zowie te wyspy Wyspami Porannymi, dlatego że one pierwsze witają dzień i one pierwsze żegnają go” – wzruszył się lektor, czytając komentarz do filmu.

– Oho! Wieloryb! – Popatrzcie, wieloryb! -ucieszył się ojciec. – Włada! – krzyknął w stronę kuchni – wieloryb!

– Co? – zajrzała do pokoju matka Hanki. – Co mówisz?

– Właśnie wieloryb!

– Aha – powiedziała nieuważnie. – Muszę wrócić, bo mi się wygotuje – zakręciła w stronę kuchni.

– Nie możesz poczekać z kolacją? Jakby na złość, nie możesz popatrzeć. Choćby teraz – są rekiny!

– A opowiedz, jak dziadzius uratował całą armię Andersa, no, opowiedz... – Hanka poprawiła włosy synowi. Ojciec spojrział na nią życzliwie i znów zapatrzył się w telewizor.

„... w nastojaszczėje wremia połnostju iszczerpany. Kak tolko my smożem priobriesti ich na kniżnom rynkie, to nie zamiedlim wysłať ich w Wasz adres...”

– Wieloryby, trzymają się stada.

– Była noc i dziadzius siedział w okopie. Niemcy chodzili na zwiady, jeden Niemiec pierdnął, a dziadzius myślał, że to strzelają, i wyrzucił granaty, ale nie odwoskowane.

„...Żelajem Wam uspiechow w Waszej rabotie...”

– Foki – mruknął ojciec. – Sporo ich.

– Tak – odpowiedział Włodek. – Widzę.

– Włada!

– No co – weszka matka – o co chodzi?

– No właśnie popatrz, foki.

– Rzeczywiście.

– Ładne te foki, zaraz będą delfiny. I zamknij drzwi do kuchni, bo leci straszny zapach. Bywa, że delfin przeskoczy przez obręcz.

„Z iskrennim uważanijem.

Zawiedujuszczij Otdielom

Mieždunarodnogo Knigoobmiena...”

– Rano słońce przygrzało, granaty się odwoskowały i cała armia Hitlera wyleciała w powietrze.

– „...Inaczej niż foka, rekin jest wrogiem człowieka. To dobrze, że jak ona nie wychodzi na brzeg” – ucieszył się lektor.

– Czy nie widzieliście gdzie szklanki? Ciągłe giną. W zeszłym tygodniu kupiłam sześć, po osiem złotych... Zresztą nie chodzi o cenę, tylko o to, że nie można dostać. Dlaczego ja się muszę zajmować tymi idiotyzmami? Stale wracam objuczona i jeszcze szklanki giną. Czy nie widziałeś szklanki, Włodek?... Nienawidzę tego wszystkiego!

Włodek pokręcił przecząco głową patrząc na trzydziestokilkuletnią, upodabiającą się coraz bardziej do matki swoją żonę, Hanke, która siedem lat temu była szczupłą i zgrabną i wyglądała świetnie w białym kitlu, bo poznał ją, kiedy pracowała jako pielęgniarka, i wtedy musiała mu się przecież podobać, ale nie zastało z tego nic ani nie zmieniło się w serdeczne przywiązanie. Jego zawieszono na rok w prawach studenta za tę historię z

Gribojedowem, więc przeprowadził się do jej rodziców i te trzy pokoje po akademiku wydały mu się cudowne, ale już w dwa miesiące później – za ciasne i męczące.

– Byłeś w tej spółdzielni? Dowiedziałeś się? – zapytała tęgawa, nieduża kobieta, która była jego żoną i z którą miał spędzić resztę życia. Upodobnić się do niej, zgrubić, potem zmaleć, i koniec.

Odpowiedział, że nie był, tłumacząc na jej pogardliwe wzruszenie ramion rozżalony, że przecież widzi, że pracuje cały dzień, na co odpowiedziała, że to musi załatwić mężczyzna, a zresztą ona ma dziecko na głowie. Wycofał się, że absolutnie nie zamierza sugerować, iż powinna to załatwić sama, tak więc zaszło nieporozumienie, jednak celowo formułował uprzejme zdania wiedząc, że ona traktuje to jako prowokację, i - chociaż drażnienie jej było oczywiście bez sensu, nie mógł sobie tego odmówić.

W tym momencie nie przeczuwał jeszcze, że za kilkanaście minut podniesie się i wyjdzie, i to właśnie o godzinie siódmej czterdzieści, czyli w porze, o której przez lat pięć czy sześć, nie przypominał sobie dokładnie, jej matka podawała kolację. Że spotka Irenę, a przedtem kolegę ze studiów, który kierował klubem studenckim w czasie wakacji, i że wydarzą się następne dwa miesiące.

– „Na tym kończymy nasz program o Wyspach Kurylskich. Jednocześnie zapraszamy za tydzień na program zatytułowany *Mieszkańcy mórz południowych*.”

– To, prawda, może być ciekawe. – Ojciec przejechał dłonią po głowie pokrytej przeredzonymi siwymi włosami. – Wiesz, będzie o rybach za tydzień – zwrócił się do żony, która właśnie wkroczyła z tacą wypełnioną talerzami z odgrzonym z obiadu mięsem.

– Musisz iść i porozmawiać. Inaczej nie dostaniemy mieszkania nawet za dwa lata. Wszyscy tak załatwiają. Nikt tego nie lubi, ale trzeba to wychodzić. Możesz jednego dnia nie pisać w domu i iść to załatwić.

„... Żelazem Wam uspiechow w Waszej rabotie...” – zakończył i wolno wyciągnął z maszyny kartkę.

– Ale jednakże musiałaś odsmażyć kartofle, po co, po co? – histerycznie załamał się głos ojca. Jeżeli chcesz mnie otruć, to od razu daj mi truciznę.

Wtedy właśnie Włodek postanowił wyjść. Nie jedząc swojego kawałka wyjść chociaż na kilkanaście minut zupełnie sam, bez żadnych wyjaśnień, tak normalnie. Chęć sprawdzenia, czy mu się to uda, była w momencie pierwszym mocniejsza od słabości, dlatego ruszył do drzwi nagle, szybko, ale zaraz zatrzymał go głos matki, potem Hanki, więc zaczął tłumaczyć, że właśnie musi po papierosy, na co niechętnie pokręcił głową ojciec i przestrzegając przed paleniem, przytoczył na dowód oglądany w telewizji film o gołębiu, który dziobnął kroplę nikotyny i zdechł. W każdym razie silna potrzeba wyjścia, chociaż nie zniknęła, musiała jednak przycisnąć. Usiedli więc w czwórkę przy stole, po czym ojciec krzywił się na kartofle, a Włodek je chwalił, starając się wybić rodzinę z jednomyślności: Lyknął herbatę i dopiero wtedy, o godzinie siódmej pięćdziesiąt, uzyskał możliwość krótkiego wyjścia bez niej i bez dziecka. Więc po dokładnym przykryciu maszyny, żeby się nie kurzyła, bo to drażniło ojca, Włodek, mający lat trzydzieści jeden, wzrostu metr osiemdziesiąt, włosy raczej jasne, ubrany w marynarkę szarą, sweter szary, ciemną koszulę, spodnie ze sztruksu, trochę za szerokie, uszyte nie najlepiej, buty niedokładnie oczyszczone, wyszedł na ulicę i w dwadzieścia minut później mógł zatrzymać się wreszcie przed klubem studenckim wśród różnych grup zagląających i nie zagląających przez okno do środka, gdzie grała orkiestra, tańczono i tłoczono się przy barku. Dopiero wtedy zbliżyło się już, zarysowało realnie to tak ważne poznanie Ireny. Ale jeszcze przedtem miał postać kilkanaście minut, obserwując tych naokoło, spotkać wreszcie tego kolegę, szefa klubu, i dopiero wtedy wejść do środka. Przyglądał się więc największej grupce stojącej obok, było to z osiem osób, a mówili tak: – Ewentualnie czyli jak najbardziej, bynajmniej czyli niestety, figo fago, szuru buru cwana gapa, dzień dobry ewentualnie dobry wieczór, usiedli wypili, buch go w migdał żeby krzyk dał, suche majtki na dnie morza, po furmanie bat zostanie, parle parle sucho w gardle, lyly lyly a walizka zginęła, chłop krokodyl, tramwaj w oku, ksiądz milicjant, idź do kąta boś nie piąta, buch go w kolano a on ma nogę drewnianą, duża klatka mały ptaszek, mucha w ciąży, teś komiwojażer, nie wiesz z czasem, jak cię mogę, bynajmniej czyli wprost przeciwnie, ja go brzdęk a on pękł, ja do niej lala lala a ona mnie depce po nogach, hop siup Praga bije, ecie pecie ujki mujki, będzie dupa ale z nas.

Włodek posłuchał parę minut, o czym rozmawiali, potem zobaczył, że podjechały jeszcze dwa samochody, wysiadło czterech – dwóch miało granatowe spodnie i białe kurtki, a dwóch białe spodnie i granatowe kurtki. Wtedy podszedł do niego dawny kolega ze studiów i potrząsając jego ręką powiedział:

– Cześć, Włodek. – Cześć, Andrzej – odpowiedział Włodek, bo poznał go od razu, chociaż tamten mocno wyłysiał, ale przez te sześć lat inne zmiany nie były już takie duże. – Łysiejesz ucieszył się Andrzej. – No, chodź do środka, pogadamy. Co robisz, jak ci leci, masz samochód, gdzie wyjeżdżasz, byłeś na Zachodzie, masz mieszkanie, ile wyciągasz miesięcznie, gdzie sobie szyjesz marynarkę, nie widziałeś Władka albo Czeška. Pamiętam ten twój numer ze studiów, za który cię zawiesili... No, chodź do środka, zapraszam cię. Ja tym kieruję.

Włodek szedł za nim, chociaż wiedział, że powinien już wrócić, ale pociągała go jakoś pewność siebie Andrzeja, przesuwającego ludzi, energicznie wioskującego do wejścia, jego niedbale „ze mną jest, ze mną” w stronę studentów kontrolujących zaproszenia. Więc chociaż wiedział, że już od dziesięciu minut powinien być w domu, postanowił z determinacją dorzucić do i tak już nieuniknionej rozmowy jeszcze następne dwadzieścia i

odcierpieć potem razem całą sumę. A Andrzej przepychał się tymczasem do barku między parami stłoczonymi na malutkim okrągłym parkiecie. Włodek widział dużo ładnych, kolorowych dziewczyn obejmowanych i przytulanych, a potem przez okno zobaczył tych, których rozmów słuchał przedtem i którzy ciągle stali na dworze, a to było bardzo dobre miejsce, bo oni jednocześnie podkreślali swoją odrębność i wyższość, a jednak kontrolowali zabawę i uczestniczyli w niej w pewien sposób.

– Oj, zrobiłeś ty wtedy numer na tych studiach! Pamiętam, pamiętam – zaśmiał się Andrzej, podał Włodekowi kieliszek, napili się. – Ale co ty właściwie zrobiłeś takiego? – Zastanowił się nagle. – Cholera, zapomniałem. No, ale cóż – przerwał Włodekowi, który właśnie zamierzał przypomnieć mu, o co chodziło – w końcu studia skończyłeś. – A kiedy Włodek zaprzeczył, mówiąc, że ma tylko te siedem semestrów, machnął ręką. – Ale w każdym razie żyjesz, masz swoje miejsce pracy, żonę, dziecko, miejsce w życiu, żyjemy obydwaj – i teraz opowiadał o sobie: bez żony, bez dziecka, z dyplomem, stanowiskiem w ZSP, podróżami, a Włodek zastanawiał się, kończąc wino, czy rzeczywiście łysieje, ale nawet jeżeli, to chyba nie bardzo, w ogóle jeszcze wygląda chyba nieźle, myślał pochylając się nad szklanym blatem, szukając w nim swojego odbicia, jeszcze nieźle, bo kiedyś pływał, był raczej szeroki w ramionach, twarz też raczej nie była zła, tyle że się jej ostatnio za bardzo nie przyglądał. Odstawił kieliszek nie przeczuwając jeszcze, że za nim stanęła Irena i że już wkrótce wszystko się rozpocznie. Słuchał dalej, jak tamten recytuje mapę Europy, więc żeby powiedzieć coś, włączyć się kulturalnie, wspomniął o książce *Malarstwo włoskie*, na co tamten znów przerwał mówiąc: – Byłem. Obejrzał się i zobaczył Irenę, młodziutką, długowłosą, o trochę trójkątnej energicznej twarzy, dużych oczach i wysoko odsłoniętych, ładnych nogach, tego wszystkiego oczywiście nie zobaczył od razu, raczej tylko tyle, że dziewczyna za nim jest ładna i młoda, więc machinalnie odsunął się, przepuszczając ją przed sobą do barku, a ona uśmiechnęła się serdecznie i z wdzięcznością, czym go zaskoczyła, zwłaszcza że zaraz dodała: – Bardzo dziękuję, naprawdę. – Potem dała mu do potrzymania swój kieliszek, ciągle patrząc na niego ufnie i z sympatią. Aż zaskoczony Andrzej zatrzymał się przy Madrycie i powiedział, że: – Ty zawsze, człowieku, miałeś szczęście do kobiet, tak samo na studiach. Ten twój numer, och ty, stary, no to na razie, nie zapominaj, wpadaj. Cześć, do widzenia, do widzenia pani, nie przeszkadzam. Ukłonił się dowiecipnie, trącił jeszcze raz porozumiewawczo Włodekowi i zniknął w drzwiach pokoju z napisem „Służbowy”.

– Ecie piecie, szuru buru – usłyszał Włodek z tyłu i zobaczył dwóch tych podsłuchiowanych pod klubem, stojących obok i patrzących na niego niechętnie, czego nie umiał sobie wytłumaczyć. Potem powiedzieli jeszcze: – Ujki mujki, chłop krokodyl – i odsunęli się dalej w stronę parkietu.

– To ładnie, że mnie pan od nich uwolnił, nie znoszę takich typów – powiedziała Irena i wyjaśniła, że tamci chodzili cały czas za nią, zaczepiali, dogadywali i gdyby nie to, że się nią zajął, toby się w ogóle nie odczepili i byłaby bardzo nieprzyjemna historia.

Wtedy Włodek kupił jeszcze dwie lampki wina takiego samego, po siedem dwadzieścia, spojrzął na zegarek, przestraszył się i stwierdził, że chyba już będzie musiał iść, a ona odpowiedziała, że trudno, że oczywiście, skoro się tak spieszy... I dodała, że ma na imię Irena i jest studentką czwartego roku polonistyki, a on oświadczył, że skończył siedem semestrów rusycystyki, i już nie wyjaśniał, dlaczego nie skończył więcej, zresztą ona nie pytała, tylko zaproponowała, żeby zatańczyć, więc zatańczyli, a ona rysowała mu się bardzo niekonkretnie, ponieważ nakładały mu się na nią wszystkie rozmowy, które miał odbyć za minut kilkanaście albo kilkadziesiąt, i już nawet przygotowywał słowa, dlatego rozmawiał z nią niepewnie, bardziej jeszcze niepewnie, niżby rozmawiał w sytuacji innej, na przykład parę godzin wcześniej, kiedy zawsze miał trochę luzu między biurem a domem. Zresztą to nie zdawało się jej przeszkadzać, mówiła dużo o sobie, że jest z innego miasta, mniejszego, a tu mieszka u ciotki, miłej bardzo, jednakże nieco purytańskiej i dość zabawnej. Zatańczyli jeszcze raz i Włodek już naprawdę bardzo chciał iść, ale znów zatrzymała go dziękując za pomoc, a on odpowiedział, że to nic takiego, naprawdę, ale niczego nie wyjaśniał, bo jeszcze wtedy nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia tamtej sytuacji, że ona zobaczyła go zupełnie inaczej i na tej podstawie oceniła, zakwalifikowała nieprawdziwie i że to niezrozumienie zaciąży w tak decydujący sposób, stanowić będzie moment pierwszy, wprowadzający w ciąg następnych, coraz bardziej nieprawdziwych rozpoznań. Na razie jednak przycisnął ją w tańcu, ona chętnie przysunęła się, a zrobił to właściwie nie dlatego, że chciał, tylko wiedział, że powinien się tak zachować. I kiedy przestali tańczyć, zapytał, czy mógłby się z nią spotkać, i to też dlatego, że tak trzeba było powiedzieć i wiedział, że ona tego oczekuje. Na co rzeczywiście zgodziła się chętnie, bardzo nawet chętnie, proponując, żeby już jutro wpadł po nią na uniwersytet koło drugiej, a on nie przyznał się, że pracuje, tylko powiedział, że dobrze, myśląc, że oczywiście nie przyjdzie i w ten sposób cała sprawa się zakończy. A kiedy wyszli razem, zapytał, gdzie mieszka, zaproponował, że ją odprowadzi, w czym nie było już nawet śladu rzeczywistej chęci, bo był roztrzęsiony, przejęty paniką, rozchwiany i coraz bardziej niepewny, co znów jej się ogromnie podobało, bo przecież niedawno był taki męski. To, że pocałowała go w policzek, dotarło do niego już zupełnie niekonkretnie, bo mieszkała dosyć daleko i szli długo, a ona opowiadała o swoich studiach, o profesorsze, na którego seminarium chodzi na czwartym roku, i o wybitnym pisarzu młodego pokolenia, Ołubcu, wielkim oryginale, o którym ma pisać referat. Po drodze parę razy o mało nie zawrócił. Jeszcze przed pocałunkiem zauważył, że ma

zgrabne nogi, a potem, już wchodząc do domu, przypomniał sobie jej uśmiech, który też wydał mu się bardzo miły.

*

Następnego dnia obudził się wcześniej. Mycie, golenie, ciężki oddech Hanki, kaszel jej ojca i dudniący masaż matki, klepiącej się po brzuchu w celach odchudzających – wszystko rozebrało się jakoś szybciej, mniej natarczywie. Udało mu się wyjść przed ojcem i po drodze próbował udowodnić sobie, że nie myśli o tamtej dziewczynie i że to szybsze, inne rozpoczęcie dnia jest zupełnie przypadkowe. Wczoraj po powrocie do domu z radością zauważył, że Hanka jego długi samotny spacer, zakończony spotkaniem kolegi, o czym rozwlekła i niodowcipnie opowiadała, potraktowała raczej z litością i pogardą niż ze złością. To zdeterminowało zachowanie reszty rodziny, instruującej go o głupocie trwonienia czasu. Potem poszedł z Hanką do łóżka, w którym nie była ani mniej, ani więcej wymagająca niż zwykle i po wszystkim poklepała go nawet łaskawie po twarzy, po czym od razu zasnęła.

Więc Włodek, oszołomiony tym, że wszystko skończyło się wczoraj tak jakoś nieszkodliwie, jeszcze przed zaśnięciem przygotował sobie na rano przepisane listy, potem słuchał oddechu Hanki myśląc o tamtej i wreszcie zasnął, postanawiając jednak obudzić się wcześniej, żeby uniknąć rannych rozmów. Kiedy otrzymał w biurze ostatnią podwyżkę, rodzice Hanki doszli do wniosku, że powinna przestać pracować, bardziej dbać o siebie i zajmować się dzieckiem, co przyjął bez sprzeciwu, bo mógł teraz, o ile udało mu się zmylić ojca, wymykać się czasem sam z domu. Od tego czasu Hanka była coraz bardziej i oczekiwał, że niedługo zacznie również stosować masaż, coraz częściej zalecany jej przez matkę.

Przez pierwsze parę godzin biurowych Włodek względnie spokojnie dyktował i przepisywał listy, zresztą roboty było dużo i pomyślał znowu, że ta podwyżka, którą dostał, jest nieproporcjonalna do jego pracy, a większej nie dostał tylko dlatego, że nie skończył studiów. Tej zresztą też pewnie by nie dostał, gdyby nie zdecydowany terror rodziny, która zmusiła go do pójścia na rozmowę.

– Pan nie ma wyższych studiów – powiedział dyrektor.

– Jak to, a siedem semestrów rusycystyki?

– Ale jeszcze panu trochę brakuje.

– Ale mam jednak więcej niż pół.

I w końcu dostał jednak tę podwyżkę, chociaż chyba za małą, a gdyby wtedy powrócił do przerwanych studiów, po tym, jak go w pięćdziesiątym czwartym zawieszono na rok za to, że polecono mu napisać pracę *Gribojedow Szekspirem rosyjskiej literatury*, a potem on już sam na lektoracie angielskim przedstawił drugą: *Szekspir Gribojedowem angielskiej literatury*, a to akurat były czasy, kiedy wszyscy się łatwo obrażali i takich żartów nie lubiano. Dlatego też rozpoczął się ten rok zawieszenia, w czasie którego poznał Hanke, potem jej rodzinę...

Na dwadzieścia minut przed drugą poprosił swojego szefa, który nie zajmował się żartami ani na temat Szekspira, ani na temat Gribojedowa i dlatego, mimo że od Włodka młodszy, miał wyższe studia, wyższą pensję i był jego szefem, poprosił więc, aby na dwadzieścia minut zwolnił go z biura, a tamten zgodził się chętnie, ponieważ Włodek był punktualny i na ogół nie wychodził. Więc za dziesięć drugą Włodek poszedł jednak na uniwersytet. Znalazł się tam niby przypadkiem, ale oczywiście przypadku w tym nie było, wszedł na dziedziniec, potem wcisnął się w rozstęp między drzewem a drewnianym płotem i stamtąd patrzył, jak z gmachu wysuwają się grupami i pojedynczo, w czapkach i bez czapek studenci. Ukryty starannie, obserwował ich, przechodzących o kilkanaście metrów, i wreszcie zobaczył, że ona też wyszła z dużym uśmiechniętym w budrysówce, skulił się i zaraz potem poczuł dla niej wielką wdzięczność, kiedy podała tamtemu rękę i rozglądając się krążyła przed budynkiem. Patrzył niemal z rozczeniem, jak dwa razy, idąc już w stronę bramy, zawróciła, wyraźnie zdenerwowana, zawiedziona. Wreszcie, po dalszych piętnastu minutach, poszła w stronę wyjścia. Odczekał chwilę i ruszył za nią. Poprawił zakurzony od brudnego płotu płaszcz i posuwał się ostrożnie, cały czas przygotowany na to, że się odwróci. I rzeczywiście odwróciła się, najpierw raz, potem, już po wyjściu na ulicę, jeszcze raz. Ciągle wtedy tłumaczył sobie, że podchodzić nie ma sensu, że w ogóle nie zamierzał podejść, chciał po prostu sprawdzić, czy go zapamiętała, czy będzie go szukać, i to się w pełni sprawdziło. Mógł więc właściwie wrócić do biura, ale jednak przebiegł na drugą stronę ulicy wyprzedził ją i ruszył naprzeciw, starając się wyrównać oddech, przygotowując uśmiech i zdanie, że się spóźnił, ale co za zbieg okoliczności. Wytarł zwilgotniałe dłonie, zmrugał oczy, ale ona przeszła obok z opuszczoną głową, nie widząc go, więc zrobił jeszcze kilkanaście kroków myśląc, że tak jest naprawdę znacznie lepiej, ukrywając wielki zawód i żal do siebie pod decyzją rozsądnej rezygnacji. Obejrzał się raz jeszcze i szybko podążył w stronę biura, w którym go nie było minut czterdzieści, czego znowu ku jego zdziwieniu nikt nie zauważył.

*

„*Uważajemyje Towariszczi...*” – A powiedz, jak dziadziusiowi kosa obcięła palec. – Dziadzius był nieuważny i mu obcięła na polu na boso. – Czy nie widzieliście szklanki? – „*Głęboko uważajemyje Towariszczi. Z błagadarnostju potwierdzaniem postuplenije naprawlonnych nam Wami knig...*” – Czy byłeś w tej spółdzielni? Oczywiście, nie byłeś. Nie wiem, dlaczego zależało ci, żeby rodzice nam pomogli finansowo przy wpłatach. – Znalazłam zbitą szklankę w kubie, jestem pewna, że nikt się nie przyzna. Zupełnie jak dzieci. Nikt się nie przyzna, nikt nie ma odwagi. – Dziadzius przeniósł angielskiego oficera przez granicę, a on mu nawet ręki nie podał, jak się spotkali na przyjęciu w ambasadzie... Ja myślę, że to dziadzius zbił. – To nieprawda. Ładnie go wychowujesz. Owszem, zbiłem, ale trzy dni temu talerzyk. Na pewno sam zbił. – Zostawcie dziecko, w spokoju. Ewek by się przyznał, gdyby zbił – W dziadziusiu kochała się też córka biskupa, generałowa i profesorowa i chciały się z nim ożenić, ale dziadzius nie chciał. – Nie chcecie, nie przyznawajcie się jeżeli nie macie wstydu; w ogóle pijcie, w czym chcecie. – Albo mamuśka zbiła. – Cicho, Ewek, nieładnie jest sypać mamuśkę bez dowodów!

„*Z iskrennim uważaniem...*” – wystukał Włodek, który od początku wiedział, kto zbił szklankę, ponieważ zbił ją sam przed godziną, ale udało mu się zatrzeć ślady. Ta historia ucieszyła go nawet, pozwoliła mu na kilkanaście minut wyłączyć się z myślenia o Irenie, przestać rozważać tę rozsądną decyzję, której już teraz w żaden sposób nie mógł wybronić, której się wstydził, bo nie była decyzją, tylko słabością. W tym, że godziny wloką się wyjątkowo powoli, zorientował się już w czasie przepisywania drugiego listu, ale starał się przyniesić w sobie oczekiwanie, zdusić je, starał się bardzo, wiedząc już, że to nie da rezultatu.

„*Głęboko uważajemaja tow. G. Wisienkowa!*” napisał jeszcze, po czym nagle podniósł się i nic nikomu nie mówiąc przeszedł przez pokój, na korytarzu bezszelestnie otworzył drzwi i zbiegł po schodach, bo ani na rozmowy, ani na zabezpieczenie się nie miał już sił ani czasu. Tak, właśnie czasu, bo wiedział już teraz, że będzie jej szukać, chociaż w południe udało mu się prawie uzyskać pewność, że to tylko ona na niego czeka, że jest w pozycji lepszej i ma przewagę. Wiedział to na pewno i nie zaskoczyło go, że tak boleśnie odczuł jej nieobecność w klubie, do którego dostał się dzięki powołaniu się na Andrzeja. Wszedł tam nie mając odwagi podnieść oczu, bojąc się, że ją zobaczy, a jeszcze bardziej, że jej nie zobaczy. Potem, po powrocie, tym boleśniej odczuł dom i tamte codzienne rozmowy, ale wtedy jeszcze miał nadzieję, że to mnie, że nie ma wielkiego znaczenia, tak to odczuwał, a w każdy m razie tak opowiadał o tym Irenie, kiedy wreszcie spotkał ją na uniwersytecie po trzech dniach straconych, wypełnionych próbami odnalezienia jej, spacerami wieczornymi pod domem ciotki, wyszukiwaniem z kilkudziesięciu oświetlonych okien tego, które mogło być jej. I tego trzeciego dnia postanowił podejść do niej od razu, nie czekając, czy się rozejrzy, bo na to było za późno, i poczuł ogromną ulgę widząc, że wyszła sama, więc szybko wysunął się z dobrze już przez trzy dni wydeptanego schowka, ruszył naprzeciw, a ona na szczęście poznała go od razu i ucieszyła się tak wyraźnie, że wszystko stało się bardzo łatwe. Wytłumaczył swoją nieobecność, a ona powiedziała, że świetnie, że zjawił się w ogóle, że ją zapamiętał, a to, że nie przyszedł wtedy, było bardzo męskie i typowe dla niego. Potem wypili razem kawę i Włodek opowiadał jej o studiach przerwanych, o Gribojedowie, Szekspirze i o swojej pracy, na co ona spytała, czy jest żonaty, a on powiedział, że jest, co wcale jej nie zaskoczyło, kiwnęła tylko aprobowująco głową, mówiąc, że oczywiście, że zdziwiłaby się, gdyby było inaczej, gdyby taki ktoś jak on był sam. Tego dnia Włodek nie wrócił już do pracy. Szef patrzył na niego z pewnym zdziwieniem; ale ciągle nie wymagał wyjaśnień. Potem spotkali się jeszcze w tej samej kawiarni dwa razy i ona powiedziała, że wyjeżdża na trzy dni na zjazd polonistów, że przez ten czas muszą pomyśleć z całą odpowiedzialnością o ich historii, bo to nie jest błaha sprawa dla niej, a przede wszystkim dla niego. Natychmiast, jak wróci, zadzwoni do niego do biura, mówiła trzymając go za rękę, patrząc z oddaniem i podziwem, bo wydarzyła się przedtem historia jeszcze jedna.

Wieczorem odprowadzał ją do domu. Hance wyjaśnił, że ponieważ teraz nie dają mu maszyny do domu, musi przepisywać w biurze, i znowu mu nadspodziewanie łatwo uwierzyła, tak łatwo, że zaskoczyło go to i chyba nawet upokorzyło, bo skoro jego obecność okazywała się niekonieczna ani w biurze, ani w domu, to te sześć lat ścisłego zamknięcia stawało się niewytłumaczalne i głupie. Więc kiedy już blisko jej domu skręcili w wąską ulicę, usłyszeli krzyki i zobaczyli, jak dwóch mężczyzn biło kogoś zataczającego się, chyba pijanego, i wziął ją za ramię, żeby przejść na drugą stronę, zobaczył nagle jej oczy utkwione w siebie ze spokojną pewnością, za chwilę puściła jego rękę, kiwając przyzwalająco głową – zrozumiał, że nic innego zrobić nie może, i czując słabość w nogach, brak oddechu i wielką niechęć do niej za to bezprawne przymuszenie, zrobił w stronę tamtych parę sztywnych kroków, wreszcie, żeby skrócić to wszystko, odczuwając każdy krok, zaczął biec, a wtedy oni zobaczyli go i zaczęli uciekać, ale zrozumiał przecież, że to nie koniec, że nie może zwolnić, że absolutnie musi ich gonić. Dopadł jednego z nich, chwycił za ramię, pchnął na mur, trzymając nad nim rękę zaciśniętą w pięść, a w parę chwil potem była już milicja; wtedy ciężko oparł się o ścianę domu obok tamtego, którego brali do radiowozu.

Ona nie zdziwiła się wcale jego odwagą, nie podziwiała go, bo po prostu wiedziała, że taki jest, umocniło się w niej może tylko postanowienie uwznioślenia mu życia, wyciągnięcia z nie ulubianej pracy. Dlatego znów wróciła do swojego pomysłu, że przecież mógłby tłumaczyć. Było to po premierze sztuki *Mądremu biada*, na którą wybrali się razem, gdzie on właśnie wspomniął, że to jest źle przetłumaczone, bo *Gorie od uma* to przecież

znaczy co innego. Tak więc wtedy właśnie objawiła się jej już ta droga jako oczywista. Będzie tłumaczył, może dostać stypendium na wyjazd, potem wyda zbiór szkiców o współczesnej literaturze radzieckiej i o klasykach, przy czym ona mogłaby mu robić z początku korektę stylistyczną. Uświadomiła sobie też radośnie, że Ołubca mają tłumaczyć na rosyjski i że może on zgodziłby się na to, żeby Włodek przy tym współpracował, w każdym razie, oczywiście, porozmawia z Ołubcem, który ma stosunki wszędzie, a znowu ona ma z nim, stosunki znakomite. Wyjechała na zjazd polonistów, a on wyciągnął książki rosyjskie, dawno nie oglądane, kupił parę słowników i zaczął czytać gazety, potem spróbował przetłumaczyć artykuł o teatrze i wychodziło źle, o czym wiedział, ale tak przecież zawsze jest na początku, więc wcisnął to zamiast przepisywania na maszynie między opowiadania o dziadziu, ryby móżdżek południowych i szklanki i przesiadywał długo, czekając na jej powrót, o ona spóźniła się o trzy dni, w czasie których nie mógł już pracować nad tłumaczeniem, bo nie mógł wytrzymać czekania, dzwonił stale do jej ciotki i nie mówiąc nic odkładał słuchawkę, nie rozumiejąc, dlaczego się spóźnia, czując się strasznie opuszczony, śmieszny z artykułem o dramacie radzieckim i słownikiem wyrażen idiomatycznych. W biurze, nie mogąc znieść napięcia, wychodził co chwila, najpierw wynajdując jakieś preteksty, a potem już nie, wychodził, żeby skrócić oczekiwanie, mając nadzieję, że w czasie jego nieobecności zadzwoni, bo nie mógł znieść teraz telefonów od osób innych, którym odpowiadał teraz agresywniej, budząc wreszcie zainteresowanie szefa. Wybiegał więc na piętnaście, potem na dwadzieścia minut, a potem na godzinę i wracał wypełniony radosną pewnością, że przecież już musiała zadzwonić, i najpierw pytał, czy ktoś nie dzwonił, wreszcie patrzył już tylko prosząco, starając się jak najszybciej wyjść znowu. Wracał do siebie, dzwonił do ciotki i siedł pod jej dom, licząc na to, że właśnie wróci, i kładł się do łóżka z Hanką, czekając na dzień następny, który stwarzał nową możliwość. Bo wieczory nie dawały właściwie żadnych szans i były stracone całkowicie.

*

Na dzień przed jej powrotem dostał wezwanie do komisariatu i usiadł przy długim stole z komendantem posterunku, kilkoma milicjantami i jakimś mężczyzną w cywilnym ubraniu, po czym wręczono mu wazon za pomoc w poskramianiu elementóv chuligańskich – tak to właśnie sformułował kapitan i dodał, że gdyby każdy obywatel tak jak on, filolog, pomagał milicji, był tak odważny, zdecydowany, ta sprawa wyglądałaby inaczej. – Bo, panie filologu – mówił dalej – pan nawet nie wie, jak nam jest czasem przykro, jak nas społeczeństwo nie rozumie. – Potem długo nie mówiono nic, ale wszyscy siedzieli uśmiechnięci za stołem, tylko ten w cywilu, widocznie wymęczony okropnie, stale drzemał, więc Włodek wyciągnął sto złotych i spytał, czy nie można by kupić winiaku, myśląc wtędy, że w ten sposób skróci ten dzień, bo dziś już listu być nie mogło, a przed południem telefonu nie było, czego nie mógł zrozumieć, i zaczynało już w nim nawet powstawać podejrzenie jakiejś gry z jej strony czy oszustwa. Tymczasem do czapki sierżanta zebrano ponad dwieście złotych, kapitan wezwał szeregowca i polecił mu zakupić litr winiaku i co tam trzeba, więc tamten przyniósł winiak i ćwiartkę czystej, a dalej już się rozmawiało swobodnie.

– Panie filologu – mówił kapitan – dalibyśmy panu order, ale z tym jest dużo zachodu, a wie pan, wazon jest zupełnie przyjemny.

– A właściwie to jak wy się nazywacie? ocknął się ten zmęczony w cywilnym ubraniu, któremu ciągle myliło się, czy Włodek jest gościem, czy przesłuchiwanym, spojrzał czujnie – a jednak wpadliście! – dodał i znów głowa osunęła mu się na ramię.

– Panie redaktorze – uśmiechnął się sierżant, któremu ta forma wydała się prostsza niż filolog – jakby co, to może pan już na nas liczyć.

Włodek podziękował i wypili znowu.

– Właściwie to jakie jest wasze nazwisko? – poruszył się cywil.

– Nie miejcie do niego żalu – wyjaśnił kapitan. – On zaharowany, całą noc w robocie.

– Raz, panie redaktorze – rozpoczął sierżant – napadło mnie trzech ze sprzężniami. I wie pan redaktor co? Zawiedli się.

*

Następnego dnia z samego rana w biurze zadzwonił telefon i to był jej głos. Więc chociaż przygotował sobie, a nawet częściowo zanotował ostre słowa, zapytał tylko, gdzie jest, i wybiegł przepaszając po drodze szefa. A ona, opalona, uśmiechnięta, wzięła go za rękę i zaprowadziła do mieszkania, gdzie tego dnia nie było ciotki do szesnastej. Rozebrała się od razu, położyła na tapczanie i widząc jego niepewność, zmieszanie, uśmiechnęła się ciepło mówiąc:

– Skończmy już z tym drobnomieszczaństwem, chodź. – A kiedy potem spytał ją, jak to się stało, co ją do tego skłoniło, powiedziała, że semantyka. Potem opowiadała o zjeździe, o profesorze, koincydencji, infrastrukturze i Ingardenie, którego sądy są *quasi*. Potem znów opowiadała o Goldmannie i Popperze i że każda świadomość jest świadomością czegoś. Była już teraz zupełnie spokojna o ich przyszłość, bo wszystko, jak

oświadczyła, przemyślała bardzo dokładnie. Ona jest mu całkowicie oddana, jeżeli chce, to mogą iść razem i porozmawiać z jego rodziną, wyjaśnić, czemu obecność ich przy Włodku jest zupełnie absurdalna. Potem wyszli, bo dochodziła szesnasta, i Włodek już wierzył, słuchał uważnie, kiedy mówiła o konieczności wynajęcia na razie mieszkania i aby popytał kolegów lub znajomych, z których, być może, ktoś wyjeżdża za granicę i zostawia mieszkanie, bo to jest sposób najlepszy. Powiedziała mu też, że jutro o godzinie czternastej umówiony jest w kawiarni z Ołubcem, któremu musi opowiedzieć o sobie szczerze wszystko, a wtedy Ołubiec pomoże mu z pewnością, bo już jej to obiecał. Włodek starał się wysłiznąć z tej rozmowy, która wydawała mu się kłopotliwa, nie do przeprowadzenia, ale ponieważ poprzednio powstrzymał ją od odbicia rozmowy z rodziną, teraz zgodził się w końcu, zwłaszcza że ona uważała to za pomysł bardzo dobry i wiązała z tym wielkie nadzieje.

Po powrocie do domu, gdzie jego coraz częstsza nieobecność nie wywoływała wrażenia żadnego, poza może pogardliwą litością, usiadł przy stole i najpierw nie mógł wypowiedzieć ani słowa, bo myślał ciągle o Irenie, o tym, że musiał się z nią rozstać, i o Ołubcu, ale potem, kiedy pomyślał o bliskiej konieczności rozmowy z Hanką ostatecznej, wpadł w panikę, zaczął bawić się z Ewkiem i spróbował włączyć się uprzejmie w życie wieczorne. Zachwycał się wraz z ojcem ośmiornicami, znalazł szklanek matce i dwukrotnie pocałował swoją żonę Hanke, po czym bujając Ewka na kolanach wysłuchał opowieści o tym, jak dziadzius gonił gestapowca pod lodem do przerębli, potem poszedł z Hanką do łóżka, gdzie po wypełnieniu solidnym obowiązków mógłby wreszcie zasnąć, gdyby nie Irena i przybliżający się Ołubiec. Postanowił tych swoich pierwszych prób tłumaczeń Irenie nie pokazywać.

*

Po długim krążeniu przed kawiarnią wszedł do środka. Ołubca pokazała mu szatniarka. Był chyba niewiele od Włodka starszy. Siedział sam przy stoliku, pijąc wolno kawę. Włodek podszedł, przedstawił się i usiadł patrząc z nadzieją w duże, mądre oczy tamtego, obserwując jego bladą, skupioną twarz. Zaczął mówić tak, jak nakazała mu Irena zapewniając, że Ołubcowi musi się spodobać, bo on lubi takich mocnych, pewnych siebie i spokojnych. Opowiadał więc od początku, opanowując z wysiłkiem drżenie głosu, starając się mówić dowcipnie, opowiadał od początku, od Gribojedowa i zawieszania na studiach, a swoich siedmiu semestrach i o tym, jak ceni Ołubca, więc że gdyby właśnie Ołubiec mógł mu coś pomóc albo zaryzykować nawet, że Włodek przetłumaczy jego książkę, a jeśli nie, to dał mu jakiś kontakt – zwierzał się, rozczulając się nad sobą i wycierając zwilgotniałe dłonie. A Ołubiec ciągle milczał, pił wolno kawę, obserwując go uważnie. Dodał więc jeszcze o zachwytach Ireny nad nim, a potem jeszcze o swojej sytuacji, skotłowanym życiu – to słowo, „skotłowane”, podsunęła mu wczoraj Irena, bo to było Ołubca słowo ulubione – i wreszcie umilkł zmęczony, wiedząc, że powiedział wszystko jak trzeba, i czując zadowolenie i wielką ulgę, bo bał się, że nie będzie umiał tyłu z siebie wydobyć spraw intymnych. Czekał więc teraz, patrząc ufnie na tamtego. A Ołubiec skończył wreszcie kawę, popatrzył na niego długo i bardzo wyraźnie powiedział: – Spierdalaj.

*

Bardzo trudno było znaleźć dobry i tani pokój. Koledzy mrugali i pytali, na ile godzin potrzebuje, a on nie mógł im odpowiedzieć, że na całe życie. Długo nie dawały te próby żadnego wyniku, zresztą nie miał dużo czasu na szukanie, bo akurat ciotka wyjechała na trzy dni, więc wziął zwolnienie z biura, a w domu udało mu się wytłumaczyć, że wyjeżdża służbowo, i to były chwile tak wspaniałe, że aż nierealne. Pili herbatę, rozmawiali o planach, jedli coś, co ona przygotowywała, potem byli razem i znów pili herbatę w najlepszych filiżankach ciotki, wyciągniętych ze znanego Irenie schowka. Ona nie wydała się być wstrząśnięta historią z Ołubcem. Mam nowy pomysł – powiedziała od razu. A chodziło teraz o jednoaktówkę radziecką, którą wskazał jej ktoś jako interesującą, a znajomy redaktor miesięcznika obiecał jej, że gdyby tłumaczenie było dobre... O Ołubcu powiedziała tylko, że może rzeczywiście jest trochę chamem, i dodała, że kiedy dwa tygodnie temu rozmawiała z nim w klubie o jego twórczości, bo przygotowywała właśnie referat pt. *Ołubca wizje transcendentalne*, którego fragmenty miał przedrukować awangardowy miesięcznik, Ołubiec był najpierw bardzo miły, wyjaśnił jej wszystko, a potem, kiedy wyszli z kawiarni na spacer i przechodzili akurat koło jego domu, nagle zaprosił ją do siebie na górę, żeby pokazać dziennik pisanej obecnie powieści. I wtedy rzeczywiście zaczął się do niej nawet dość ostro zalecać, co z jednej strony było miłe, ale jednak sprzeczne z etyką pisarza, gdyż straciłaby do jego pisarstwa dystans, poza tym kochała już przecież wtedy jego – Władka. Dlatego odmówiła kategorycznie i może to właśnie była Ołubca zemsta. Chodziła po pokoju w kąpielowym kostiumie, nosząc herbatę, bardzo zgrabna, młoda i inteligentna, i znów mówili o planach dalszych, o wynajętym, a potem własnym pokoju, o tym, co będzie, kiedy on przetłumaczy tę jednoaktówkę i następne, a ona także zdobędzie pozycję, o ich życiu przyszłym, cudownym, o stypendiach, Morzu Czarnym, Goldmannie, Ołubcu, salonie u Bądkowiaka, do którego tak trudno się dostać, że wydaje się to prawie nierealne, ale oni się tam dostaną, o wspólnej pracy w domu twórczym i spacerach w cichym parku, gdzie była niedawno u profesora prowadzącego seminarium, o półmroku wielkich sal

wypełnionych antykami i nazwiskach pochylonych nad obiadem. Potem te trzy dni się skończyły i Włodek wrócił do domu z rozpaczą i wysiłkiem równym temu, z jakim z niego wychodził przed miesiącem po raz pierwszy, kiedy nie wiedział jeszcze, że spotka Irenę. Widywali się wtedy rzadko, bo ona kończyła referat, a on szykował przekłady, wystukując je potem na maszynie polskiej. Siedział dłużej niż zwykle i czytając tłumaczenia inne starał się nadawać słowom odpowiednią giętkość, wyrazistość i nawet chwilami sądził, że mu się to udaje, lecz zaraz załamywał się, potem znów podrywał z rozpaczliwym wysiłkiem, brnąc przez zdania ciągnął to dalej, umacniany, a jednocześnie coraz to wytrącany jej spokojną pewnością, wiarą absolutną, uśmiechem, jakim przyjmowała jego niepewność, nazywając ją kokieteryą. Potem przyniósł jej piętnaście gęsto zapisanych kartek, szybko pożegnał się i czekał znowu na jej telefon, bojąc się strasznie tego, co powie, bojąc się, że ją zawiedzie, że przekreśli jej plany, które były już teraz także i jego planami. Kiedy wreszcie zadzwoniła, nie mógł się zdobyć na pytanie, co o tym sądzi, tylko przeprowadził rozmowę obojętną, udając, że do tamtego nie przywiązuje żadnej wagi. A gdy spotkali się w kawiarni, ona powiedziała, że owszem, że pewne rzeczy wydają się jej niezłe, ale jednakże w sumie jeszcze trzeba nad tym popracować, i wytknęła mu szereg błędów stylistycznych, przy czym nie straciła ani odrobiny pewności, że się uda, ale powiedziała, żeby teraz to odłożył, bo na razie ma pomysł inny.

Nic też nie dał wtedy po sobie poznać, że nie chodziło naprawdę o te noce zarwane, tylko właśnie o rozbudzoną nadzieję, wezbraną wyobraźnię, pogardliwą wyższość, którą już zaczął okazywać w biurze, ironiczną odmowę brania do domu listów, podbudowaną otrzymanym od milicji wazonem za odwagę, kawy wypijane w klubie, strzępy rozmów dolatujące od tamtych stolików, rozmów, które już wkrótce stać się mogły jego rozmowami. Ale opanował to w sobie, chociaż chciało mu się uciekać i krzyczeć, że go oszukała i że on ją też oszukał, że trzeba przerwać to wszystko, wracać, ratować się, póki jest jeszcze czas. Ale nie powiedział jej tego, częściowo ze wstydu, upokorzenia, a może jeszcze dlatego, że nadzieja nie zniknęła tak zupełnie, z dumy wreszcie, jaką w nim rozbudziła, a na wyzbycie się jej nie był jeszcze przygotowany. Jednak wiedział już wtedy, że płaci cenę przewyższającą jego odporność, że dalsze oczekiwanie na telefony, na rozmowy, decyzje, szarpanina, w której wynik już nie wierzył tak mocno, ciągną go w dół coraz wyraźniej. Zaciśnął więc szczękę i po chwili słabość ustąpiła, ale nie mógł wybaczyć jej zbyt łatwego przejścia nad całą sprawą, wynikającego nie z troski o to, aby go nie zranić, ale z niezbitą pewnością, wiary, nie mógł znieść jej uśmiechu nie przemijającego i tego właśnie, że miała już pomysł następny, lepszy.

Tymczasem zbliżały się wakacje i Hanka zażądała wczasów w Krynicy lub w Kudowie, oczywiście z małym, podpierając się jednomyślną opinią rodziny. Jednocześnie Irena zaproponowała Mazury, gdzie jest kompletnie dziko, można rozbić namiot, uciec od chaosu kulturowego, chodzić nago i czytać Toynbee'go w oryginale. Tak więc zbliżała się chwila powiadomienia Hanki o wszystkim, rozpoczęcia chybotliwego życia bez niej. Jednocześnie realizował pomysł Ireny następny, tłumaczenie paru wierszy radzieckiego poety, którego poznała na uniwersytecie, a dwutygodnik obiecał jej, że przekład taki by zamieścił. Wtedy wreszcie mógłby rzucić pracę, zapisać się do Koła Młodych przy Związku Literatów, wystąpić o mieszkanie i skończyć z bezsensownym rozmienianiem się na drobne.

*

„Uważajemyje Towariszcz!

W swiazi z etim uwiedomlajem Was, czto nasze Izdatielstwo żelaja...”

– Włada, pająki! No popatrz, pająki!

– Dziadzius szedł z całym pułkiem, nagle zza wzgórze wystrzelił czołg i został tylko jeden pluton z dziadziusiem, ale szedł dalej.

– O co chodzi?

– Zobacz, pająki. Czy rzeczywiście nie możesz zamknąć drzwi od kuchni? Jak na złość.

„...okazat' Wam sodiejstwie naprawilo Wasze pismo sowmiesno s fotokopiej...”

– Potem wystrzeliła armata i została tylko jedna drużyna z dziadziusiem, ale idzie dalej. – Zobacz, Włodo, komar. Ale ma trąbkę! No, popatrz chwilę.

– Nie mogę teraz, mam robotę.

– Został tylko sam dziadzius, ale idzie dalej.

„W swiazi s etim...” – wystukał Włodek, odsunął maszynę, wytarł mokre dłonie, potem czoło, zaciśnął zęby przypominając sobie chwilę, kiedy z przetłumaczonymi wierszami zjawił się u tego redaktora, wchodzenie na czwarte piętro do redakcji, cofanie się parokrotne, błędzenie po piętrach trzecim i piątym, wreszcie pchnięcie drzwi, zamazane, niewyraźne twarze sekretarek, wypełnioną paniką chwilę oczekiwania, wreszcie kroki redaktora: cztery, trzy, dwa, jeden, serdeczny uśmiech i uścisk dłoni, który wzbudził w nim wielką nadzieję, i zaraz pytanie, o co chodzi, potem namysł, przerzucanie teczek, wreszcie ta odpowiedź, o której myślał, że go nie zaskoczy, a dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo liczył, że się uda. Następnie słuchał nieuważnie, myśląc o tym, co by przeżywał, gdyby padły słowa inne. Słuchał więc wywodu o nieprzydatności, nieporozumieniu,

dobrodusznym rad, żeby dał raczej spokój... Słuchał wiedząc, że czoło pokrywa mu się potem, spuścił oczy wstydząc się tamtego człowieka, z nienawiścią rozpamiętując uśmiech Ireny, i wreszcie mógł odwrócić się i odejść, bo zarzuty zostały już wyczerpane. Wychodził licząc teraz swoje kroki, byle szybciej do drzwi, byle zniknąć z oczu sekretarek, w których wzroku przewidywał pogardliwą litość.

– O, patrz, jak ten pajak tego komara... Aha, aha, wpadł łobuz! – ucieszył się ojciec. – Zobacz, Włodek, jak wpadł.

Włodek przyznał, że komar jest rzeczywiście w trudnej sytuacji, i myślał, co będzie dalej, starał się wykrzyć, odczytać do końca swoje odczucia, upewnić się, czy istotnie sprawą największą, wyłączną niemal, jest w nich strach, próbował wyluskać spod niego przekonanie, że postąpić inaczej nie mógł, ulgę wreszcie, że ma to już za sobą, że przekreślił wszystko najszlachetniej, najprawdziwiej, mszcząc się za życie swoje rozchwiane, wytrącone z normy.

– A jak dziadzius przyniósł kamień, którego czterech nie mogło ruszyć?

– Cha, cha, teraz tę trąbkę możesz sobie wsadzić w tyłek.

– Czy ktoś nie widział spodeczków?

Siedział teraz czekając. Na razie jeszcze bezpiecznie. Stukał w maszynę i myślał o tym, czego już zatrzymać ani odwrócić nie mógł. Siedział obserwując pajaka i rozglądając się za spodeczkiem. A przecież to dziś, parę godzin temu, spotkał się z nią w zupełnie pustym parku, rozżalony, rozbity podbiegł, wykrzykując z daleka, że wszystko na nic, a wtedy nie spodziewał się jeszcze, nie mógł nawet pomyśleć o tym, co nastąpi. Ale kiedy zobaczył jej twarz spokojną, czystą i ona, uśmiechnięta ufnie, powiedziała, że to nic, że wszystko będzie dobrze i że na razie ma pomysł nowy, nagle zacisnął jej ręce na szyi, rozpaczliwie starając się zatrzymać te słowa, a potem zniszczyć je, oddalić, odzyskać spokój, wrócić na to krzesło, na którym siedział teraz. Myślał o tym nie rozluźniając uścisku palców i kiedy ona upadła na ziemię, odwrócił się i odszedł prosto tutaj, przygotował maszynę, wkręcił kartkę papieru i napisał cztery listy nie pomyliwszy się ani razu, a teraz przyglądał się długiej śmierci komara.

– Ale to sprytna sztuka, taki pajak! Popatrz, jak biega. Oho, teraz na muchę. Oho, już się za nią wziął.

– Istotnie – zgodził się Włodek, któremu pajak wydał się naraz stworzeniem ciekawym, choć nieco tłustym. – Istotnie.

Wstał z krzesła. Za godzinę odchodził pociąg do Kudowy. W pokoju Hanka trzaskała walizkami. Zapakowany ochronnie w watowany ortalionowy płaszczyk Ewek czekał już na tapczanie. Włodek był teraz spokojny. Zupełnie spokojny, świadom słuszności dokonanego wyboru. To dobrze, że nie poszedł w ogóle na to spotkanie z Ireną w parku, to bardzo dobrze. Nie zniósłby z pewnością tej rozmowy. Musiałby ją zabić, oczywiście, na pewno zachowałby się tak, tylko tak. Nie mógłby postąpić inaczej. Ale oto potrafił nie iść, potrafił o tym sam zdecydować, uniknąć najgorszego dla niej i dla siebie. Poza tym musiał w tym czasie kupić bilety do Kudowy na pociąg z miejscówkami.

BÓL GARDŁA NA DWÓCH

Szmery pod drzwiami ucichły, potem coś zabulgotało. Kobieta leżąca obok Pawła poruszyła się.

– Słyszysz? Odlewa znowu.

Niechętnie otworzył oczy. Siedziała już na łóżku, w skupieniu wsłuchując się w dochodzące zza drzwi odgłosy.

– Więcej wziął niż szklankę. Ciągłe bierze więcej. Ruszyłbyś się.

Z wysiłkiem przełknął ślinę. Bardzo ostro zakłuło. „Przeziębilem się – pomyślał. – Teraz trzeba szybko coś gorącego, mogłoby jeszcze przejść, proszek powinien gdzieś być.” Znowu przełknął ślinę z niejasną nadzieją, że teraz uda się lepiej. Spojrzał na biały, wilgotny tynk. Trzeba było jednak poczekać, aż ściany wyschną, wprowadzić się trochę później.

Wiedział, że obserwuje go niechętnie, czuł, że zaraz zacznie, i dokładnie przewidywał wszystko, co powie. Ale nie chciało mu się ruszyć, nawet udać, że chce wykonać jakiś ruch. Słuchał więc, jak ostrożnie podnosi się z łóżka w długiej flanelowej koszuli, robi parę kroków w stronę drzwi. Trącone krzesło przesunęło się po podłodze i zaraz na schodach zatętniły szybkie, drobne kroki. Potem na końcu korytarza skrzypnęły drzwi. Odprężył się trochę, ona tymczasem podeszła do okna, otworzyła je, rozsunięszy przedtem kretonowe zasłony. Usłyszał rytmiczne uderzenia deszczu.

– Pójdę do tego capa starego raz wreszcie. Odwróciła się. – Pójdę. – Zrzuciła koszulę. Obok łóżka przesunęły się duże białe piersi, ciężkie nogi w miękkich pantoflach.

Już od drzwi zawołał ją zachrypniętym głosem. Zobaczył z ulgą, że jednak zatrzymała się. Wolał skupić jej niechęć na sobie niż nasłuchiwać krzyku z końca korytarza. Odwróciła się i zaczęła mówić. Poczul do siebie ogromną niechęć, że nie potrafił jej przerwać, wypchnąć z tego pokoju, rozegrać przygotowanej od tygodni sceny, zakończonej jej odejściem. Przełknął ślinę, zmusił się do rozluźnienia napiętych już skurczem mięśni. I natychmiast przestraszył się zwilgotniałych rąk, tego, że jest już wyczerpany nie rozpoczętą jeszcze rozmową. Spróbował pocieszyć się, że to może jednak przeziębienie.

Przeszedł do łazienki wymijając Wandę – niosła z obrzydzeniem opróżnioną do połowy butelkę mleka. Mył twarz myśląc o ich poznaniu cztery miesiące temu, kiedy dostał od swojego przedsiębiorstwa pokój w tych blokach, zupełnie nowy, aż za nowy, bo jeszcze wilgotny, i prze niósł się tutaj z wynajmowanego na spółkę z kolegą u rodziny tamtego mieszkania na drugim końcu miasta. Miał więc wreszcie ten pokój i po długim czekaniu, opisywaniu choroby ojca i ciężkiej sytuacji matki, mieszkających w mieście mniejszym od tego, oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów, mógł teraz wyłączyć się z całego przeszłego życia, dorzucić nawet trzy lata do dwóch zaliczonych już na wydziale ekonomii. Dostał klucz i wypożyczoną z przedsiębiorstwa ciężarówką za jedną szóstą miesięcznej pensji przewiózł łóżko, stolik, dwa krzesła, których nie potrzebowała rodzina kolegi, i wypełnił tym pokój dostatecznie. Mógł też pomyśleć o kobietach; właśnie w tym celu wyszedł na miasto.

– Napijesz się mleka? Jest ta nie dopita reszta. Napij się, ja po nim nie będę pić. Nie chcesz ze starym porozmawiać, to teraz pij.

Usiadł przy niej na stołku obok małej kuchenki, sprawdził gardło i ostrożnie zjadł kawałek chleba. Było już jednak o wiele lepiej, klucie zmniejszyło się. Teraz jeszcze proszek.

Dolała mu mleka i patrzyła niechętnie, jak pije, ciężka, utleniona trzydziestoletnia, niebrzydka nawet, ale nieważna, nie przynosząca ulgi, nie łagodząca nic.

Wtedy po przeprowadzce, opuściwszy wreszcie wilgotny pokój, wszedł z kluczem w zaciśniętej dłoni do kolejki elektrycznej i po piętnastu minutach był już w prawdziwym mieście, szedł centralnymi ulicami, minął uczelnię, na której studiował dwa lata i przestał, kiedy zrozumiał, że skończenie studiów było mu niepotrzebne, nie mogło nic zmienić, zbliżyć do kobiet innych niż Wanda czy ta, która była przed nią, tak do niej podobna, że twarze ich zlewały się w jedno. Przybliżyć te wszystkie długonogie, wysoko odsłonięte! Mijały go z lewej i z prawej, a on odnotowywał ich przejścia wilgotnieniem dłoni, zaciskaniem szczęk, odwracając oczy, gdy któraś z nich spojrzała na niego, bo nie mógł znieść ich doskonałości, chociaż obrzydzał je sobie rozmaicie, wyobrażając w różnych scenach. Tłumaczył, że nie są lepsze ani nawet trudniejsze, że widywał je z o wiele gorzej niż on wyglądającymi.

Potem zjadł i wypił za złotych prawie dwieście, rozkołysany tym podszedł do wmieszanej w wychodzący z kina tłum szerokiej, ciężkonogiej blondyny, którą sam nie wiedział kiedy, sobie wybrał, a ona uległa jego namowom i zgodziła się wejść do jeszcze jednej restauracji, drugiej tego wieczora, i to była właśnie ona, Wanda, która nie wróciła już do męża niekochanego, tylko pozwoliła mu wprowadzić siebie na przeznaczone dla innych łóżko, przejmując przeznaczone dla innych pieśczęty. I pozostała tutaj zakrywając ściany szafą z lustrem i dwiema makatkami, bogato haftowanymi w gwiazdy i półksiężycy, trzecią rozłożyła na podłodze przy łóżku i wypełniwszy w ten sposób miejsce sobą i swoimi sprawami, nie mając do tego żadnego prawa zajmowała ciągle pokój nie swój i nie swoje łóżko. Więc porozmawiał z nią w miesiąc później, że nie ma przed nimi przyszłości, ale ona nie zgadzała się z tym. Opierając się na doświadczeniach własnych nie uważała, aby było niedobrze, bo tak żyli inni, i w rozmowach przygniatała go zawsze wspomnianiem porzuconego domu i męża, który wtedy przestawał być już niekochany.

Kiedy czasem pomyślał, że mógłby na przykład naraz podejść do której z tych doskonałych, przemówić dowcipnie, ładnie i otrzymać w zamian chętny uśmiech, a tymczasem miejsce jest zajęte tak niewłaściwie i męcząco – czuł narastający szum w głowie i zaciskał palce, szykując się do rozmowy. Nie umiał jednak nigdy przebić się przez jej odporność, pewność siebie, nie miał sił już nawet na próby, chociaż nie dopuszczał jeszcze myśli, że tak mogłoby zostać na długo, bardzo długo. Odkładając wszystkie swoje sprawy do momentu jej odejścia, obciążał ją ich niewykonaniem.

Dopił mleko, zjadł jeszcze jedną kromkę chleba i spojrzawszy na jej pełną, nieruchomą twarz doznał nagle współczucia, że nie jest taka jak tamte, których nigdy nie wprowadzi do tego pokoju, póki ona w nim jest, i nawet później, kiedy jej już nie będzie. Poczul litość z powodu bezużyteczności jej piersi, ust, nóg. Dotknął ręką włosów szorstkich, gęstych i też nieprzydatnych i zobaczył twarz wyrażoną z obojętności.

*

– Tak więc, widzi pan, oczywiście, że można wykombinować więcej, tylko, widzi pan, trzeba wtedy dużo kombinować. – Siedzący przy stoliku obok baru starszy z dwóch urzędników przetaił okulary w drucianej oprawie. – Na przykład tam, gdzie byłem ostatnio, to piją herbatkę zmieszaną z wódką, połowa, prawda, herbatki, połowa wódeczki... – Zamyślił się. – Każde miasteczko ma swoje obyczaje. – Włożył do herbaty dwie kostki cukru i zakręcił łyżeczką.

– Bez wątplenia – przytaknął z szacunkiem siedzący naprzeciw, gładko przylizany. – Niewątpliwie tak.

Przy stoliku pod oknem Heniek zakołysał się na krześle, podwinął rękawy wytartego swetra odsłaniając duże ręce. Zginając i rozprostowując palce obserwował biegające mięśnie. Deszcz przestawał już padać. Za oknem przeciągał obciążony pakunkami tłum.

– Dziesiąta – powiedział.

– Na pociąg – pokazał głową spieszących się ludzi chudy, żyłasty mężczyzna w za dużej marynarce, siedzący naprzeciw Heńka. – Nie chcesz, możesz nie mówić. Zmusza cię kto czy jak?

– Może ci powiem. – Heniek wpatrywał się w splecione teraz palce. – Jeszcze nie wiem, ale raczej ci powiem. – Był zadowolony, że udało mu się zająć najlepsze w restauracji miejsce, przy samym oknie, skąd można było mieć oko na wszystko, kontrolować, kto wchodzi, kto wychodzi, ucieszyć się spóźnionym biegiem tych zza okna. Uciepiony dwóch walizek grubas zwolnił dopiero teraz, na niewątpliwy już stukot kół odchodzącego pociągu, oparł się o słup z ogłoszeniami ciężko sapiąc, następnie wysmarkał się dokładnie i poczerwieniał jeszcze bardziej widząc, że Heniek z zadowoleniem pokazuje go palcem. Potem jednak z godnością ruszył w stronę drzwi restauracji.

– Ja to, właściwie, wie pan, na delegacje dużo nie jeździłem. To właściwie jedna z pierwszych. Ale kupiłem tak, bilet, znaczy, na klasę drugą, a podałem, że pierwszą. Tak mi poradzono – uśmiechnął się przeciągle przylizany.

Straszy urzędnik zamachał z lekceważeniem ręką. – Zapewne, kolego, zapewne. Sposobów jest bardzo dużo. Na przykład taki... – Ożywił się, pociągnął spory łyk herbaty i napotkawszy spojrzenie Heńka, ostrożnie ściszył głos, pochylając się do swojego sąsiada. – Ale znowu jak się wyda, to mogą być nieprzyjemne konsekwencje – dokończył głośno.

Za oknem uspokoiło się. Wolno, niemrawo przechodzili ludzie. Do następnego pociągu nie było na co patrzeć. Heniek odwrócił się. W drugim kącie jakaś rodzina uroczyście popijała herbatę. Gruby, spocony, usiadł przy samych drzwiach. Rozejrzał się niechętnie, rozpiął płaszcz i obstawił się walizkami. Znad kontuaru Heniek wyłapał zachęcający uśmiech na szerokiej, mięsistej twarzy bufetowej. Przejechała po nim spojrzeniem, zatrzymując je na młodszym urzędniku, który zawisł osłupiałym wzrokiem na wypchanym piersiami fartuchu.

Heniek myślał teraz o tym, jak przed dwiema godzinami zatrzymał się przy bramie starego domu, właśnie z tym obciążającym teraz za dużą marynarkę, byłym posiadaczem warsztatu

naprawy motocykli, który zupełnie zaprzepaścił obchodząc różne knajpy, takie jak ta i lepsze. Zatrzymali się obaj, następnie wszedł już sam do bramy, wyminął zamontowane pod kątem lusterko dozorczy, skręcił w pierwszą klatkę schodową obok drewnianego trzepaka i nadgniłych komórek, wszedł na trzecie piętro po wyslizganych schodach i na końcu ciemnego korytarza zastukał do drzwi. Otworzyła je nieduża, szczupła blondynka w narzuconym na koszulę płaszczu. Spostrzegłszy jej ruch jakby wahania, szybko wszedł do środka i wiedząc już, że nie ma nikogo, zapytał, czy jest sama. Na jej słowa ostre, niechętne, że za dwadzieścia minut wychodzi do pracy, powiedział, że s tarczy dwadzieścia. Przeszedł za nią do oddzielnego kotarą od małej kuchni pokoiku, usiadł na krześle między wyłożoną poduszkami kanapą a wysokim kredensem z rozsuwanymi matowymi szybami. Wyrzwał przez okno i zobaczył kiosk z gazetami i kręcącego się tam byłego właściciela warsztatu.

Potem ona wyszła do kuchni, ale kotary nie zaciągnęła, więc podsunął się do kredensu, delikatnie odepchnął szybkę, zobaczył swoje zdjęcie czujnie sprężony, włożył rękę do gipsowego wazonu. Słyszac, że się poruszyła, nie zdążywszy już zasunąć szybki do końca, oparł się leniwie, jakby przypadkiem, o kredens, wyrażając uznanie dla jej wytartej granatowej sukienki.

– Jest jeszcze jeden sposób zarobienia na delegacji, tylko – zaraz zniechęcił się starszy urzędnik – to w ogóle trudno. – Pociągnął spory łyk herbaty i zakaszał.

– A może by jednak... – Jego sąsiad siedział już bokiem, patrząc na wypełniony piersiami fartuch bufetowej.
– Może jednak po małej na rozgrzewkę nie zaszkodzi?

– Po małej? – zawahał się tamten i zabębnił palcami.

– Właśnie. Jak sądzę, można będzie nawet bez zakąsek

– Mówi pan, bez zakąsek?

– Bez.

– Kto wie, kto wie?... – Znowu puścił w ruch palce.

Były właściciel warsztatu zakręcił na stole pustym kuflem. – Nie chcesz, możesz nie mówić. W ogóle nie musisz.

– Może ci powiem – mruknął Heniek myśląc o tym, jak wtedy po powrocie z kuchni na jego uwagę, że bardzo przyjemnie wygląda, powiedziała ostro: – O co chodzi? – Oświadczył wówczas, że sprawa jest przykra i zamącona, na co przyznała, że chyba tak, że domyśla się, skoro nie było go dwa lata, a teraz przyszedł. Siedząc naprzeciw niej obmyślał sposób przeprowadzenia sprawy, podejścia najlepszego, najchytrzejszego, a ona przypominała mu znowu o teraz już piętnastu minutach czasu. – Spokojnie powiedział – co jest, nie lubię, jak jesteś szybka. Patrzył teraz chwilę na kręcący się kufel i znowu przypomniał sobie jej twarz, napiętą po tygi jego słowach, które powtórzyła: – Nie lubisz? – Kiwnął głową, podniosła się: – Wyjdz. No już. Zjeżdżaj, ty gnoju głupi. Zjeżdżaj! – Opanował się wtedy, mógł trzasnąć ją i wyjść, ale nie, bo jednak miał jeszcze pewien zamiar, którego do końca nie wykonał. Dlatego powiedział tylko: – Uwważaj, żebyś nie przesadziła, bo na co ci to i mnie też na nic. – Ona powtórzyła znowu: – Jazda, na co czekasz! – Więc uśmiechnął się układnie: – Właściwie to o co chodzi? – Właściwie to o nic. Tylko cię nie było dosyć długo, teraz cię obejrzałam i mi wystarczy. No już! – Przedtem jednak porozmawiajmy wyjaśniając różne rzeczy.

– Można by przy okazji spróbować – przylizany pochylił się do przodu i pokazał głową w stronę bufetowej – coś spróbować.

– Ha, ha – zapiszczał starszy z uznaniem. – Spryciarz, widzę, z pana. No proszę, spryciarz.

– To jak, wziąć i dla pana?

– No to może i ja rzeczywiście w tej sytuacji się skuszę, chociaż – zastanowił się – właściwie, to wie pan, już nie warto. Za dwie godziny mam pociąg. Ale proszę, niech pan spróbuje. – Patrzył, jak tamten podnosi się, podciąga spodnie i rusza w stronę bufetu.

– Bo, proszę pani, czasem trzeba się rozgrzać. Więc poproszę jedną małą na katar.

Bufetowa zaśmiała się ochoczo i sięgnęła po butelkę.

– Śmieje się – zauważył były właściciel warsztatu naprawy motocykli. – Weszło jej.

– Aha – zgodził się Heniek. – Wypiłbym może jeszcze piwo.

– Taa – zatrzymał kufel sąsiad Heńka. – Zajmuje mnie to, ale możesz nie mówić...

Usiadł, wyciągnął tak jak teraz nogi przed siebie i zaczął wyjaśniać, że najchętniej pozostałby u niej, tak samo jak nie chciał wychodzić dwa lata temu, tamta cała sprawa wynikła przez nieporozumienie, na co ona odpowiedziała, że wtedy jakoś nie wyjaśniał za dużo, jak wychodził. Więc, żeby zyskać na czasie; wyjął sporty, podsunął jej uprzejmie, chociaż wiedział, że nie pali, a następnie zapalił sam, zaciągnął się, elegancko puścił kółko z dymu, a jednocześnie, popatrując po pokoju, zastanawiał się, że jeżeli nie wazon, to może obraz. Brał

również pod uwagę kąt pod poduszkami na kanapie. Wyjaśnił, że nie powracał do tej pory, ponieważ odbywał karę więzienia, z którego wyszedł nie dalej jak wczoraj, i dodał jeszcze, że nie chciał, żeby odwiedzała go, boby jej było wstyd. Dlatego to właśnie nie dawał znaku życia, chociaż nie przychodziło mu to łatwo. Zwierzał się, jak uderzył milicjanta i co było potem, mianowicie te dwa długie lata. Wysłuchała go obojętnie i powtórzyła: – Wyjźdź. Ty, co jest? – powiedział wtedy. A ona oświadczyła, że wie, istotnie siedział, ale rok temu, i opisywała, gdzie był i co robił, na co znowu uśmiechnął się i przyznał, że owszem, w więzieniu ostatnio nie przebywał.

Właściciel warsztatu wrócił z piwem.

– Pani to zapewne nudzi się w takim miejscu – powiedział młodszy urzędnik. – Pani to wyraźnie tutaj nie pasuje, raczej w większym lokalu i w ogóle nie w takim, powiedzmy sobie, charakterze.

Heniek od razu wypił cały kufel i znów wrócił do tamtej sytuacji, kiedy oznajmił, że teraz się zmieniło i zamierza pozostać z nią, i chyba ona nie ma nic naprzeciw, a ona szła już w stronę drzwi, bo dwadzieścia minut upłynęło, więc zabiegł jej drogę oświadczając, że trzyma jego zdjęcie, czyli że czekała, i krzywiąc się niechętnie na jej pytanie, czy w ogóle nie ma gdzie spać.

– Popatrz się, kto przyszedł – trącił Heńka właściciel warsztatu.

Nieduży mężczyzna zatoczył się przy drzwiach. Znad kołnierza zielonej wojskowej bluzy z obciętymi nierówno pagonami wyglądała spierzchnięta twarz. Machnął ręką w stronę Heńka, który obserwował go obojętnie, i przystanął obok grubego obstawionego walizkami.

– Tu była bitwa, tu była – pokazał podłogę. Gruby nerwowo przyciągnął do siebie walizki.

– Wypraszam sobie – powiedział czerwieniejąc.

– Tu była – zwrócił się do starszego urzędnika, który właśnie zbliżał się do bufetu.

– No tak, oczywiście. Powiedzmy sobie, pełno wszędzie takich miejsc w naszym kraju – przytaknął niepewnie tamten, mijając go. – Można powiedzieć, co krok.

– Byłem dowódcą, pułkownikiem. Szedłem na przedzie, za mną chłopaki, aż tu zza rogu cekaem. Wychyłam się, aż tu patrzę – oka nie mam, o, myślę sobie, zza rogu, bez uprzedzenia, niecharakternie. Więc macham ręką: „Naprzód, chłopaki!”, aż tu patrzę, ręki nie mam...

– No cóż, prawda. — Tamten, osadziwszy okulary, przyglądał się badawczo jego rękom – smutne oczywiście i przygnębione.

– Niech się państwo nic nie przejmują – bufetowa wysunęła fartuch do przodu. – On nic nie stracił w żadnej bitwie. Niech się państwo nie przejmują.

– Zapewne, może i tak – starszy urzędnik znów poprawił okulary. – To ja już, prawda, z herbatką się uporałem, płacę sobie i pobiegnę.

– Zaraz, zaraz, bitwy może i nie było, ale wypić zawsze mogę z porządnymi ludźmi.

Wyszarpnęła mu się wtedy mówiąc, że owszem, zdjęcie trzyma, ale odwiedzają ją teraz różni inni, dzięki niemu właśnie odwiedzają, czego mu nie zapomni. Znów przytrzymał ją mówiąc, że zmyśla, i ponieważ otwierała już drzwi, przejechał szybko wzrokiem po obrazie i kanapie i teraz już chwytając się byle czego powiedział, że jak go wyrzuci, to zrobi co złego. Zrobi co złego i to spadnie na nią. Zatrzymała się jednak, więc dalej ciągnął, że wtedy to był przypadek, a teraz pozostanie na stałe, i zobaczył, że już mięknie. Więc przycisnął ją mocno, a ona nie wrywała się, dygotała tylko, wtedy pociągnął ją na kanapę i jedną ręką szarpiąc się z suknią, drugą delikatnie wsunął w upatrzony kąt pod poduszkami.

– Ale bitwa była. Znaczący my, Ruskie, Giermańce i kozaki. Oni z lewej, my z prawej, a kozaki od tyłu...

Młodszy urzędnik zachichotał.

– Właśnie przypomniał mi się pewien dowcip...

– Jadłeś co? – podniosła się pierwsza, wciągając suknię. – Ty leż, zjesz coś – przejechała mu dłonią po włosach. Poruszył się wtedy mówiąc, że musi jeszcze skoczyć na dół po parę rzeczy, które zostawił, ona rozjaśniła się jeszcze bardziej, że widocznie spodziewał się uzyskać jej zgodę. Kiwnął głową i przypomniał, że coś by zjadł, gdyby przygotowała, a kiedy przeszła do kuchni, przeszukał dokładnie róg kanapy, podniósł się, poruszył obraz, jeszcze raz dokładnie przejechał po kredensie, i to była możliwość ostatnia. Tak więc wiedział już, że to wszystko było na nic, bo albo nie ma, albo chowa gdzie indziej. Zaciągnął suwak kurtki, powiedział, że zaraz wróci, i schodząc na dół, gdzie ciągle jeszcze czekał były właściciel warsztatu, myślał, że tamten mu nie uwierzy, że nie znalazł nic, i tak było rzeczywiście. Ale tamten nie dał po sobie poznać, zauważył tylko: – Długo byłeś. – A potem jeszcze: – I co, nic, stowy nawet? – Po czym przeszli kilka ulic dalej, do „Dworcowej”, ale tamten ciągle mu jeszcze nie wierzył, dlatego pewnie znowu przyniósł piwo, licząc, że Heniek w końcu coś wyciągnie.

– W Oświęcimiu – pochyliła się nad grubym wojskowa kurtka – to ja byłem największy cwaniak. Podchodzi do mnie Niemiec i mówi przy chłopakach: „No, Majewski, pójdziecie do gazu.” On mnie znał, że ja cwaniaczek. A ja mu na to: „Takiego wała pójdę do gazu.” Chłopaki konali...

– Wypraszam sobie – oburzył się gruby. – Co to w ogóle za wychowanie.

Heniek podniósł się, podszedł do starego, pchnął go w stronę wyjścia. – Nie masz forsy? Skończyłeś pracę?

– Skończyłem – zatoczył się tamten.

- Masz parę złotych?
 - Nie.
 - Panie Heniu, panie Heniu – wychyliła się bufetowa – pan zabierze stąd ojca. Takie zachowanie.
 - Chodź, tata – powiedział Heniek. – Idziemy. No już.
- Rozeszli się pod drzwiami.

*

Ulica nagle się skończyła. Mijając przeznaczone do rozbiórki powykręcane rudery, Paweł spojrzął na zegarek: był spóźniony o przeszło kwadrans. Dopiero teraz niesmak i poczucie bezsilności, wywołane porannymi myślami, ustąpiły wobec bardziej bezpośredniego zagrożenia. Na parterze nie otynkowanego budynku oparty o biurko strażnik przecząco pokręcił głową – czyli listę już zabrano. Trzeba będzie teraz tłumaczyć się, układać mnóstwo zdań i wymawiać je przekonywująco. Dzisiejsze spóźnienie było już zresztą trzecie z kolei – poprzednio spóźniał się przez podobne poranne przetargi, szarpaninę, bardziej nawet z sobą niż z Wandą. Mijał drzwi z tabliczkami: „Dyrektor”, „Zastępca Dyrektora”, „Główny Księgowy”, i wyobraziwszy sobie niezadowoloną twarz kierownika swego działu, cofnął wyciągniętą już w stronę drzwi rękę, poszedł dalej korytarzem, wypełniony niesmakiem za tę głupią słabość, przedłużającą tylko nerwowe chwile. Żałował, że korytarz był pusty, że nikt tego nie widział, bo wtedy mógłby po prostu udać, że zamyślił się, i odprowadzony jakimś spojrzeniem, popychany nim, wszedłby oczywiście łatwo do środka, a tam już wszystko rozwiązałoby się w parę chwil. Zatrzymał się i zawrócił. Stał przed drzwiami i pokonując opór wewnętrzny, nacisnął klamkę.

– ...Halo, Edziu. Więc co wy tam chcecie wystawić? Płyte, pomnik czy obelisk?...

Kierownik w narzuconym na ubranie drelichowym kitlu odprowadził go niechętnym spojrzeniem. Przełożył słuchawkę do drugiej ręki. Paweł skłonił się w jego stronę, przesunął między rozpiętymi na rajzbretach planami miasta w stronę swojego biurka.

– Ciszej, proszę – rzucił kierownik w stronę urzędniczki strzelającej w klawisze maszyny do liczenia. – Więc co, płyta wystarczy? Dobra, zostawimy wam na to miejsce. Chcecie przy placu?...

Paweł rozkładał wokół siebie bezpieczną barykadę kosztorysów. Najgorsze już było za nim. Oczywiście tamten się nie powstrzyma, ale zawsze w końcu, jak się usiadło, jest lepiej. Gorsza byłaby rozmowa przedtem, przy drzwiach.

– ... A ilu ich było?... Na co mi to? Bo chcę wiedzieć, ile miejsca... Z podejściem?... Zrobimy z podejściem. Cześć, Edziu.

Zbliżył się do Pawła.

– To ładnie z pana strony, że pan przyszedł. Zrobił mi pan prawdziwą przyjemność. – Rozłożył na jego biurku plik papierów. – Te kosztorysy, które pan przygotował, trzeba zmienić. Nie zatwierdzili. Zmienić i nanieść. Tych prefabrykatów nie doślą, trzeba skalkulować inaczej.

– Halo, Edziu? – znów był przy telefonie. – To co, obelisk jednak?... Dobrze, będzie obelisk.

– Ale dlaczego nie doślą?

– Bo nie mają – wzruszył ramionami kierownik. – Jakby mieli, toby doślali, a czekać nie ma czasu.

– I jak się wam pracuje? – Paweł zobaczył nad sobą ekonomistę, kierownika działu, jednego z najbardziej liczących się w przedsiębiorstwie specjalistów. – Mam do was pewną sprawę zbliżył do Pawła chudą twarz w kwadratowych okularach. – Może wyjdziecie ze mną na moment? W porządku, w porządku – uspokoił niezdecydowany ruch Pawła w stronę kierownika, który znów odbierał telefon i przesłał tylko ekonomistcie głęboki ułkon.

Paweł, idąc korytarzem obok tamtego, wsunął niepewnie ręce w kieszenie i zaraz je wyjął, oczekując z niepokojem jakiegoś wyjaśnienia.

– Otóż mam dla was pewną propozycję. Obserwujemy waszą pracę... – Przystanął na korytarzu i wtedy zauważył, że ekonomista jakby zbyt nerwowo zapalał papierosa. Słuchał dalej z pełnym zrozumieniem i szacunku uśmiechem, ciągle nie mogąc się zorientować, do czego tamten zmierza. Słuchał jego powykręcanych, nic nie znaczących zdań i odpowiadał, bo niektóre z nich zawierały pytania. Tak, rzeczywiście, przeniósłby się do działu ekonomicznego, chociaż ta obecna praca także jest interesująca, nawet bardzo – zastrzegał się ostrożnie. Potem, już zupełnie zdezorientowany, usłyszał, że jest dziś na szóstą zaproszony do domu ekonomisty na coś w rodzaju takiej niekrępującej herbatki.

– ...A kto to byli ci polegli?... No, widzisz. Dobrze!... Cześć, Edziu. – Kierownik uśmiechnął się ciepło w stronę Pawła, który dopiero po chwili zorientował się, że nie było to bez związku z odwiedzinami ekonomisty.

*

Wszedł po paru wykrzywionych kamiennych schodkach, otworzył oszklone do połowy i zasłonięte przybrudzonymi firankami drzwi i, pociągnięte zieloną, odłóżką latami farbą.

Od stołu zerwał się pochyłony dotąd nad zeszytem dziesięcioletni brat Zygmunt.

– Byli u ciebie z urzędu zatrudnienia i z milicji. Wezmą cię? – spojrział pytająco. I zaraz, popchnięty przez matkę, opadł na krzesło wykrzywiając twarz.

– Dobrze, żeś przyszedł – powiedziała matka. – Pogadasz z tym, ja sił nie mam na niego.

Przy kuchni jednostajnie mamrotała babka, wycierając talerze. Matka szarpnęła zasłonę wydzielającą parometrową kłitkę, niemal całkowicie wypełnioną łóżkiem. Leżał na nim ojciec w rozpiętej wojskowej bluzie, z twarzą przykrytą mokrym ręcznikiem. Matka zasunęła kotarę.

– Kto przychodził? – Heniek obserwował ściekającą z ręcznika na podłogę wodę.

– Masz przyjść dziś o czwartej w sprawie porzucenia tamtej pracy, zostawili wezwanie. Ojciec zastękał, ściągnął ręcznik; głębokie, nierówne zadrapania biegły mu od czoła do brody. Skrzywił się w uśmiechu, wyrażając zadowolenie z nadejścia syna, zamoczył ręcznik w stojącej obok miednicy, wyjął, przyłożył do twarzy i westchnął z ulgą.

Matka sucho zaszlochała:

– Niech odda pieniądze, łobuz jeden! Niech odda, Heniek, ty mu powiedz.

– Gdzie to wezwanie?

– Czekaj, Heniek. Odbierz mu!

– Co jemu można zabrać?

– Pieniądze ma – podwijając rękawy długiego, pocerowanego na łokciach swetra. Skurczyła się ostatnio jeszcze bardziej, sięgała Heńkowi do piersi, wystrzył jej się także starczo głos, chociaż nie miała jeszcze sześćdziesiątki. – Ma pieniądze. Ma. Wyprosiłam mu robotę przy przenoszeniu paczek, potem rozmawiałam, zapłacili mu, dzisiaj mu zapłacili.

– Aha! – Heniek wsadził ręce do kieszeni zniszczonej skórzanej kurtki, która podobno była kiedyś lotnicza, a w każdym razie miała ze sześć suwaków i napis USA.

– Niech powie, co jest, niech mówi! Ty go, Heniek, spytaj, ty sam.

Za zasłona zaszurało krzesło.

– Uczyć się – matka szarpnęła kotarę – już!

– To jak to jest, ojciec? – Heniek usiadł na łóżku. – Co tam jest? Znaczy, masz coś?

– Jakie ja tam mam... – zabalgotał spod ręcznika ojciec. – Miałem coś, ale pobili, zabrali...

Matka znowu wyłamywała palce.

– Słyszysz, Heniek, słyszysz?

– Kto ojcu zabrał? – Zastanowił się, że jednak przyszli z Dzielnicy i zostawili to wezwanie. Może trzeba będzie tam pójść, pogadać, coś zakręcić, żeby się nie czepiali, że odszedł z tamtej pracy. Można by również nie iść, ale znowu przyjdą, mogą nawet przetrzymać albo grzywnę... – Więc co jest, kto ojca pobił?

– Ludzie – zabalkotał tamten. – Jacy ludzie?

– Dziesięć lat i pierwszy raz coś zarobił... od dziesięciu pierwszy raz... dlatego że załatwiłam, i to nie chce dać.

– Jacyś nieznani, jakby nie stąd, jakżeś odszedł, zaraz potem.

– Taaa – przeciągnął Heniek – to gdzie to wezwanie?

– Czekaj – złapała go za rękaw matka najpierw niech odda. Musi oddać... Nie przeżyjemy... Prawie czterysta... Musi oddać.

– I gadaj z taką – ojciec obruszył się pluskając ręcznikiem – gadaj z taką... Zabrali.

– Wyjdziesz! – Heniek pchnął matkę za kotarę. – No już, wyjdź. – Potem znów usiadł na łóżku. Gdzie masz?

– Co? – niepewnie zachrypiał ojciec. – Wiesz, Heniu, jakbym miał... Gadaj z nimi! – zamachał rękami.

– Gdzie masz? – Heniek odrzucił ręcznik, szarpnął go za kołnierz zielonej bluzy w górę. No już! Gadaj! Bo cię zaraz trzasnę... Nie ze mną... – Obserwował z bliska siniejącą twarz z czerwonymi, zaschniętymi zadrapaniami. Kołnierz z lewej strony urwał się i ojciec opadł niezgrabnie na łóżko. – No już!

Tamten podciągnął się, wychylił za łóżko, zerknął za kotarę, odbijając postać matki, potem poruszył deską w podłodze i wysunął zwitek banknotów. – O Jezu! – powiedział, kiedy Heniek rozprostował papierki. – O Jezu, zostaw coś. Naharowałem się.

Heniek z namysłem przeglądał papierki. Nic ci nie będzie. – Wsadził sobie zmiętą pięćdziesięciotówkę do kieszeni.

– Tylko szkoda twarzy – ojciec przejechał ręką po zadrapaniach i zasyczał. – Dałbyś stówę. Z tą twarzą to ja sam. dla niepoznaki.

– Stary sposób – odwrócił się Heniek.

– Ty łobuzie! – doleciało jeszcze z łóżka.

Zasunął kotarę. Tamten coś jeszcze zabalkotał i zaczął się podnosić. Matka bez słowa schowała pieniądze. Podała Heńkowi zadrukowany blankiet. – Podejdziesz tam? Podejdziesz może...

Babka skończyła już wycierać talerze i teraz wyciągała, sapiąc, deskę do prasowania. Rozłożyła ją koło okna.

– Ty, Heniu, masz przecież swój rozum. Nie chcesz, nie idź... Ale może idź...

*

Długa, pomalowana w czerwono-żółto-zieloną kratę sala kinowa Domu Kultury zapełniona była mniej więcej do połowy. Paweł usiadł z matką na dobrych miejscach, w samym środku dziesiątego rzędu. Przyszli trochę przed szóstą i na estradzie kończył się właśnie, reklamowany plakatami, poprzedzający film pokaz stołecznej mody jesiennej. Teraz defilowali mężczyźni-modele. Uśmiechnięty konferansjer w przeciętym srebrzystym krawatem czarnym garniturze zręcznie wyłuskiwał odpowiednie karteczki z rąk stąpających uroczyście panów. Przy pianinie uśmiechał się nauczyciel śpiewu z miejscowego liceum, wypełniający właśnie obowiązkową pracę społeczną.

Dzień zrobił się ja kiś zatłoczony, nerwowy. Ekonomista i jeszcze teraz matka. Czego tamten może od niego chcieć?

– Skończył się, proszę panów, okres spodni amerykańskich typu džinsy bądź farmery. Mężczyzna 1969, czyli okresu gospodarczej stabilizacji, przykuwa wzrok pań solidną, swobodną wytwornością...

Z tyłu Paweł usłyszał miarowe uderzenia. Jeden z dwóch siedzących parę rzędów za nimi żołnierzy wprawnie odbijał butelkę wina.

– Powinieneś wyjechać gdzieś na wakacje, tam najłatwiej jest o taką właśnie znajomość – pochyliła się do niego matka, nieduża, tęgawa, o czerstwej twarzy, otoczonej siwymi włosami, nadającymi jej wygląd matrony. – Właśnie Kazik...

Znowu Kazik. Już przedtem opowiadała o tej historii z Kazikiem, który chodził z nim razem do szkoły, potem w ogóle nie studiował, tyle, że miał maturę. Ostatnio pojechał na wakacje na Mazury i tam poznał dziewczynę, która się okazała córką, ho, ho, jak wysoko postawionej osobistości.

– Przyjemny garnitur elana de luxe, koszulka z usztywnionym kołnierzykiem bez prasowania, wytworny szelekt ortalionowego płaszcza zwraca uwagę pań...

– I ożenił się z nią... – zaszepotała matka. – Przeprowadził się do stolicy, mam zapisany dla ciebie jego adres, w samym centrum. Nowe budownictwo własnościowe.

Zbiorowa parada rozkołysanych wdzięcznie modeli zakończyła pokaz.

– Na tym finalizujemy nasz prowizoryczny przegląd i następnie życzymy państwu przyjemnej zabawy na filmie o tragicznie zagubionym w mrokach historii pokoleniu. Dziękujemy...

Konferansjer zszedł z estrady. Przy pianinie kłaniał się nauczyciel śpiewu, potem zgasło światło. Paweł nieuważnie patrzył na ekran. Już po wyzwoleniu dwaj bojowcy z podziemia zlikwidowali nie tego, kogo chcieli zlikwidować.

Z prawej doleciał do niego stłumiony chichot, uderzyły wysoko odsłonięte, obciśnięte czarnymi pończochami uda.

Z tyłu zabalgotało wino. – Do kreski – przestrzegł jeden z pijących, zagłuszając rozmowę przy barze, w czasie której młodszy z dwóch z podziemia zapalał spirytus w szklankach mówiąc, że czasy wtedy, w powstanie, były lepsze, bo wiedzieli, czego chcą i z kim walczą.

– Tamten Kazik cztery razy jeździł na Mazury, cztery lata, i dopiero właśnie za czwartym razem się udało. Mają trzy pokoje z kuchnią, samochód. Najlepiej właśnie na Mazury, tam ubiór nie jest najważniejszy, wszyscy równi. Masz kąpielówki? – zainteresowała się nagle.

Za dwadzieścia minut ten film powinien się skończyć. O co chodziło ekonomiście? Znowu spotęgowało się zdenerwowanie tą sprawą.

Młodszy zamachowiec z pod ziemią miał już niedużo czasu na wykonanie wyroku...

Z tyłu coś zabalgotało. To jeden z żołnierzy wymiotował do czapki.

– To skandal – powiedział ktoś z boku džinsy w czterdziestym piątym, roku. Nieznajomość podstawowych realiów.

Matka odwróciła się z niesmakiem.

– Widzisz, ty chamie pieprzony, wstyd mnie przynosisz przed tą panią – rozżościł się drugi żołnierz.

– Pierdol się – odpowiedział tamten z godnością.

Film wyraźnie zbliżał się do końca. Chłopak, trafiony w brzuch zupełnie przypadkowo, w czasie niepotrzebnej ucieczki, biegł teraz, ślizgając się rękami po murze, biegł ciągle, a ścigający go żołnierze nie mogli go znaleźć. Wpadł wreszcie na wielkie wysypisko śmieci i zataczał się na nim, bełkocząc coś i jęcząc, aż wreszcie upadł, objął głowę rękami i długo, skulony, kopał ziemię; zanim znieruchomiał ostatecznie. Potem zabłyśły światła.

– Tak więc pomyśl koniecznie o Mazurach, przecież uczyłeś się lepiej od Kazika – powiedziała matka.

Z tyłu chwiejnie podnosili się żołnierze.

– Hołota – powiedziała bileterka patrząc na leżące na podłodze butelki. Obejrzała markę wina. – Hołota.

*

– To rzuciliście tę pracę po jednym dniu? – poruszył się na krześle pochylony nad aktami delegat z Dzielnicy.
– Po półtora – poprawił Heniek.
– No cóż – sprawdził tamten – istotnie, macie rację. Po półtora. Nie za wcześnie?... Do poprzedniej nie stawiliście się w ogóle.

Heniek przeniósł wzrok wyżej. Nad stołem, koło estrady, kolorowe plakaty zapowiadały przyjazd artystów i zachęcały do wzięcia udziału w konkursie recytatorskim. Stół, przy którym siedział mając naprzeciw siebie tamtych trzech, stał pośrodku głównej sali Domu Kultury, gdzie dwie godziny temu skończono wyświetlanie filmu, a za godzinę miała się odbyć próba chóru.

– Nie słyszeliście pytania towarzysza? – poruszył się ze złością urzędnik z wydziału zatrudnienia. Pokręcił z oburzenia głową i podciągnął suwak swetra, ozdobnie wyszywanego w trójkąty i kwadraty.

– Nie odpowiadała... – Heniek przeniósł teraz spojrzenie na dwa krasnoludki smażące coś na patelni. „Rys. Andrzejek, kl. II” – przeczytał. Spodziewał się tych wszystkich pytań, wiedział, że są niezbędne, należą do tej całej ceremonii, że tamci są w porządku. Oczywiście, cała sprawa skończy się tak, że trzeba będzie wziąć skierowanie do jakiejś pracy, do której nie zgłosi się wcale albo przyjdzie jeden raz, ale tak od razu wyladuje tam komuś, że go wyrzucą. Za jakieś dwa miesiące akta jego wrócą znowu tutaj, dostanie pierwsze wezwanie, potem drugie. Wiedział też, że ci siedzący naprzeciw niego mieli również świadomość ostatecznego wyniku, ale jednakże rozumieli, że rozmowa taka odbyć się powinna i że ma trwać nie krócej niż piętnaście minut. Odprawiali więc ją teraz rzetelnie, przewidując pewnie, ile jeszcze czasu upłynie, zanim wydadzą skierowanie, wejdzie ktoś następny z grupy czekających i zanim rozpocznie się wreszcie próba chóru.

– Czyli mówicie, że wam ta praca nie odpowiadała – powiedział delegat z Dzielnicy. – A dlaczego?

Drzwi sali otworzyły się, do stołu podszedł plutonowy MO. – Aha – spojrzał na Heńka jesteście. Resztę wezwań doręczyliśmy, jeden i czeka w korytarzu doprowadzony.

– Dobra – powiedział delegat z Dzielnicy. – Dziękuję wam, w porządku.

Tamten zakręcił się niepewnie i wyszedł.

– Za ciężka – powiedział Heniek – przy piachu, przy łopacie...

– Tak? A wyglądacie na silnego chłopca.

– Bić to umiał słabszych, towarzyszu, miał siły – podrzucił gorliwie przedstawiciel wydziału zatrudnienia.

– Czekajcie – przerwał tamten niechętnie. Sprawdził, czy kołnierzyk wyłożony na marynarkę nie zagina się. – Tak nie można. Długoście siedzieli? Wtedy, za to pobicie i za budkę „Ruchu”?

– Dwieście trzydzieści cztery dni.

– Tak. Czy zdajecie sobie sprawę – położył na stole ciężkie ręce – że do innej pracy, jak by to ująć, nie macie, powiedzmy, kwalifikacji? Ile klas skończyliście?

– Pięć.

– No, widzicie. Gdybyście mieli siedem, dałoby się może coś wyszukać, ale tak...

Chudy, krostowaty nauczyciel chrząknął, rozumiejąc, że teraz przyszła jego kolej. – Pozwolicie, że się wtrącę?... Dziękuję – odpowiedział na serdeczny ruch delegata z Dzielnicy.

Heniek spojrzał na niego z pewnym zainteresowaniem. Poprzednim razem nie było go tutaj.

– Wie pan zapewne, że mamy szkoły dla pracujących. Mógłby pan tam w trybie, dajmy na to, przyspieszonym, kto wie, może w ciągu roku, machnąć te dwie brakujące klasy, oczywiście pracując, a potem zarysowałyby się możliwości pracy bardziej interesującej. Zakład szedłby panu na rękę.

– No właśnie – przytaknął delegat. – Nie chcielibyście mieć wykształcenia? Nie? Dlaczego? – zapytał na przeczący ruch Heńka.

– Nie mam głowy – powiedział obojętnie Heniek.

– No i widzicie – przyjaźnie uśmiechnął się do nauczyciela delegat z Dzielnicy i rozłożył ręce. – Ile tam was jest w domu? Pięć osób, tak? Ktoś pracuje?

– Tak. Matka.

– Ile przynosi?

– Tak dokładnie to nie wiem.

– No to powiem wam: tysiąc trzysta. Nie za mało na te pięć osób? Ojciec pije, wy pijecie, za co?

Heniek wzruszył ramionami.

– Nie chcecie, nie mówcie. Moje prawo pytać, wasze nie odpowiadać. Ale posłuchajcie. Są skargi na was, na ojca, pijecie, demoralizujecie. Wy musicie wziąć się za coś, trudno. Rozumiecie mnie?

– Można jeszcze na chwilę? – pochylił się do niego nauczyciel.

– Zawsze – uśmiechnął się delegat.

– Czasem coś dorobię gdzieś z ojcem.

– Chodzi pan do kina – często? A lubi pan karty? – spytał nauczyciel.

– Dostyc.

– Organizujemy tutaj u nas kącik brydżowy. Umie pan grać w tę grę? Nie? No właśnie. A to świetna gra, interesująca i można wygrać, nie mając dobrych kart, dzięki znajomości prawideł gry i różnym fortelom.

– Ja nie oszukuję.

– Co? Ach, nie zrozumiał mnie pan – zarumienił się nauczyciel. Spojrzał niepewnie na mężczyzn obok siebie, ale twarze ich zachowały poważny, dostojny wyraz. – Więc gdyby pan chciał, jutro o szesnastej? To by pana na pewno wzięło. Będzie kawa i porozmawiamy może jeszcze o tej pana nauce.

– Duże pomieszczenie zajmujecie? – wtrącił delegat.

– Cztery i pół na pięć na parterze od ulicy – podsunął przedstawiciel wydziału zatrudnienia.

„Jeszcze jakieś siedem minut – pomyślał Heniek. – Siedem minut, zanim dadzą mi to skierowanie. Już mają dosyć.” Namacał w kieszeni pięćdziesiąt złotych. Można będzie gdzieś wyjść. Przejechał paznokciem po składanym nożu, który dziś rano zabrał bratu. Nawet przyjemny, wykładany jakąś masą. Mały nic nie zauważył, na pewno zresztą też komuś podebrał. Gdyby nie miał tej pięćdziesiątki, mógłby za to dostać dużą wódkę na dworcu, może nawet półtorej.

– Tak – powiedział delegat – no, czyli czas już przejść do wniosków. Otóż trzeba będzie jednak, abyście tę pracę podjęli. Czy odmawiacie podjęcia w ogóle?

– Nie – powiedział Heniek – w ogóle nie.

– No, widzicie – powiedział obojętnie delegat. – Rozmowa nasza jednakże może wam coś dała. To co my tam mamy dla was? Jest tak...

– Przy piasku, przy żwirze, czyli ładowanie na barki, i w kopalni, na poczcie i na konwojenta – sprawdził urzędnik z zatrudnienia.

– No... prawda – przerwał delegat – ten konwojent to może raczej nie dla was. Ale inna praca... No jak? Nie najgorsze. Więc gdzie was pchnąć? – zastanowił się. – Może kopalnia... Listy dostajemy z podziękowaniami. O! – pokazał zmiętą kartkę – pisze tu jeden: „Oświadczam, że lepszej pracy nie ma jak górnika na dole. Na wyższy poziom życia zostałem postawiony i wielu kolegów kupiło sobie samochody”...

Heniek wzruszył ramionami.

– W kopalni to nie. Może przy maszynach gdzieś...

– Wspominał wam towarzysz, że nie macie wykształcenia – zniecierpliwił się ten z zatrudnienia.

– No właśnie – chrząknął nauczyciel – no właśnie. Niech pan pomyśli, jaką rodzice mieliby niespodziankę, gdyby pan ukończył siedem klas. A może pan chciałby recytować?

– No, to może na listonosza? Nie? To przy żwirze. Niezła praca, na powietrzu, przy wodzie... No, bierzecie czy nie?

– Może wezmę – zastanowił się Heniek.

– To w porządku – odchylił się na krześle delegat z Dzielnicy. – Mam nadzieję, że nieprędko się zobaczymy. Wypiszcie skierowanie. – Wyciągnął papierosa, uważnie zapalił. – To teraz weźmiemy tego doprowadzonego.

Nauczyciel z niepokojem spojrział na zegarek, po czym zaszeptał coś do delegata.

– No, to przesuniecie trochę próbę chóru. „To tyle – pomyślał Heniek. – Można zajrzeć do «Dworcowej», a potem zobaczyć jeszcze coś.” Właściwie źle rozegrał tę sprawę z Danką. Gdyby wrócił do niej, można by dobrze zjeść, późno wstać. Do domu nie bardzo mu się chciało wracać, stary na pewno zasypał go za te pięćdziesiąt złotych, a mały rozedrze się o nożyk. Właściwie można by mu nawet zwrócić. Tak, to rozegrał głupio. Byłby u Danki, wezwanie by nie doszło, nie musiałby się dziś zgłaszać.

– Gdyby pan jednak chciał, to jutro o szesnastej, przypominam o brydżu, wypożyczyłbym panu podręcznik Culbertsona.

– Proszę to skierowanie. Tylko może jednak bez kawałów – powiedział przedstawiciel wydziału zatrudnienia.

– Już na skierowania dla was las wycięliśmy...

– No, to pozdrowienia i wszystkiego najlepszego – podniósł się delegat. – I poproście tam tego następnego.

Wychodząc Heniek zatrzymał jeszcze wzrok na czerwonych, dymiących kominach fabrycznych, między którymi prześlizgiwały się samoloty. „Rysio, III c” – przeczytał.

Na korytarzu poruszyło się parę osób.

– Wziąłeś? – zapytał doprowadzony.

– Tak – powiedział Heniek – przy żwirze.

Tamten wzruszył ramionami i wszedł do środka.

*

– Bo wiecie, co jest w Belgradzie najciekawsze? Najciekawsze i najwspanialsze? – Dyrektor przedsiębiorstwa sięgnął po kieliszek.

– Proszę bardzo, niech pan kosztuje.

Paweł pochylił się nad tacą i wyciągnął rękę w miejsce, gdzie w sporą kanapkę z szynką celował purpurowy paznokieć żony ekonomisty. Przysiadł na skraju plecionego fotela. Ciągle nie mógł się zorientować, po co go tu

ściągnięto i czego będą za to od niego wymagać. W każdym razie musiał być zapowiedziany, bo nikt z obecnych nie wyraził zdziwienia.

– Więc jak sądzicie, co jest w tym Belgradzie najwspanialsze? – rozjaśniła się znów w uśmiechu szeroka, starannie wygolona twarz.

– Może muzea? – skwapliwie wtrącił podkreślający nerwowym węzłem krawata artystyczny charakter swojej pracy rzecznik prasowy przedsiębiorstwa, wychylając się do przodu z kanapy. Widząc, jak z wyższością zakołysała się przecząco głowa dyrektora, gorączkowo szukając innej odpowiedzi spojrzął ze złością na siedzącą obok bladą chudą żonę.

– Belgradzka ulica – powiedział dyrektor i jeszcze przez parę chwil delektował się wywołanym wrażeniem. – Jej klimat, proszę państwa, niepowtarzalny.

– Ogromnie trafne spostrzeżenie – zgodził się rzecznik. A jego żona, w amerykańskiej niebieskiej sukni z ogromną czerwoną różą, spojrziała na niego z cierpkim uśmiechem.

– Koniak, winiak, jarzębiak czy soplica? – znów przesunęła się obok Pawła żona ekonomisty.

– Niech pan się czuje jak u siebie w domu – poklepał go po ramieniu gospodarz.

– Proszę bardzo, niech pan kosztuje – znów zbliżyła się taca.

– Właśnie dyrektor przywiózł ogromnie ciekawą grę, którą nabył w czasie swojego pobytu w Jugosławii. Jestem ogromnie zaciekawiony – życzliwie uśmiechnął się w stronę Pawła rzecznik.

Na stojącym w kącie orzechowym stoliku dyrektor rozwijał z kolorowego papieru sporą tarczę z plecionki, podzieloną, podobnie jak tarcze strzelnicze, na szereg numerowanych kręgów w czarno-czerwonych kolorach. Obok rozłożył zakończone ciężkim stalowym ostrzem nylonowe strzałki, zakończone barwnymi lotkami.

– Jakie ładne! – ucieszyła się żona ekonomisty.

– To ogromnie ciekawe – pochylił się rzecznik.

– Proszę, niech pan kosztuje... – Żona ekonomisty powstrzymała ruch Pawła, który poderwał się, aby dopomóc przy umocowaniu tarczy. – Niech pan siedzi, dadzą sobie radę sami. – Przynęła się bliżej, wysoko zakładając nogę na nogę. – Koniak, winiak, jarzębiak czy soplica?

Wypił starając się nie patrzeć na jej nogi. Ile w ogóle mogła mieć lat? Może czterdzieści? Trochę za gruba, starannie wepchnięta w obcisłą błyszczącą suknię, wypełniała dokładnie fotel. Twarz też miała jakby opuchniętą, za dużą, jeszcze te nogi najlepsze, i ona o tym wiedziała. Kiedyś na pewno mogła być bardzo dobra. Spojrzął na jej męża myśląc, że tamten wtedy miał ją całą dla siebie codziennie w tym mieszkaniu albo w innym, równie puszystym, mógł kłaść ją na tapczanie, jeśli tylko miał na to ochotę. Zakrzusił się wódką. W każdym razie to picie pomoże na przeziębienie, to chociaż na pewno. Gardło nie stawiało już żadnego oporu. Nieufnie parę razy z rzędu przelknął ślinę.

– Pan tutaj pierwszy raz? – Zobaczył obojętną twarz wychylającą się zza wielkiej czerwonej róży nad chudym dekoltem.

– Tak, rzeczywiście...

– Aha – żona rzecznika wyłączyła się z rozmowy.

– Następnie, prawda, ustala się dystans, o, na przykład taki, i rzuca do tej tarczy starając się trafić jak najbliższej środka, przy czym fragmenty czerwone premiowane są dodatkowo. To typowo jugosłowiańska gra – dyrektor uśmiechnął się z satysfakcją. – Wyrabia pewność ręki, ćwiczy oko, hartuje nerwy, napawa nawykiem fizycznym.

– Ogromnie interesujące.

– To proszę, niech pan może rozpocznie, dyrektorze – powiedziała żona ekonomisty.

– Bardzo ci dziękuję, Stefan, uroczy prezent.

– Tak myślisz? – ucieszył się dyrektor ściskając dłoń gospodarza.

– Ale to musi być bardzo drogie – załamała ręce żona ekonomisty. – Na pewno tyle pieniędzy pan wydał!

– Co też pani mówi! Chociaż, oczywiście, nie przeczę, ma to swoją wartość. Kupiłem to z myślą o tobie, Erneście. Pamiętasz, dawniej miałeś oko i rękę, że pozazdrościć.

– Koniak, winiak, jarzębiak czy soplica?

– Ogromnie interesujące.

– Nie, Stefan, muszę zaprotestować. Najlepszym snajperem w całym plutonie byłeś ty. Pamiętasz wtedy w oknie trzeciego piętra, przed nami barykada...

– No to, dyrektorze, niech pan rozpoczyna. Jestem ogromnie zainteresowany.

Tamten skupił się, ważył przez chwilę strzałkę w dłoni, zmrużył oko, odchylił się do tyłu, wreszcie rzucił trafiając w sam dół tarczy.

– Świetnie! – wykrzyknęła żona ekonomisty.

– Ogromnie udany rzut.

– No, lepiej byłoby, prawda, bliżej środka. Dyrektor, nieco zakłopotany, rzucił następną, a gdy wbiła się tuż koło pierwszej, machnął niechętnie ręką.

– Ogromna regularność, jaki mały rozrzut. – A może pani też spróbuje.

– Och, nie, to taka męska gra! – uśmiechnęła się żona ekonomisty. – Jak długo był pan w Jugosławii?

– No cóż, konferencja trwała tydzień. To ciekawy kraj. O – zmiął w palcach rękaw marynarki – tam kupione. I widzicie, nie gniecie się. Ciekawy kraj!

– A – wtrącił się rzecznik – czy widział pan tam w Belgradzie pewien lokalik, notabene ogromnie nieprzyzwoity?

– Ależ co pan! – zachnął się dyrektor.

– A jak tam z hotelami? – włączył się ekonomista próbując odwrócić uwagę od swoich niezbyt udanych rzutów.

– Daj nam Boże takie hotele. Oczywiście nie musicie zaraz tego gdzieś chlapnąć – spojrzał ostro na rzecznika. – Mówię to między nami.

– A jak kobiety? – spytała kokieteryjnie żona ekonomisty.

– Och, absolutnie nie tak piękne jak u nas. Podniósł kieliszek. – W pani ręce perswaduję.

– Bynajmniej – uśmiechnęła się z satysfakcją gospodyni.

– To nie był pan w tym lokaliku ogromnie nieprzyzwoitym, o którym wspominałem? – Rzecznik był już mocno rozkołysany wypitym alkoholem. – Zwłaszcza, prawda, po dwunastej dzieją się tam rzeczy ogromnie zajmujące – zachichotał nerwowo.

– Co wy, co wy!...

Rzecznik rozpaczliwie zmobilizował się:

– A... tego... budownictwo?

– No, nieźle; trzeba przyznać, nieźle. Oczywiście nie mamy powodu się wstydzić naszego dumnego budownictwa, ale, prawda, organizacja to daj nam Boże. Tylko nie chlapnijcie gdzieś tego... Ależ pan ma oko, kolego – zwrócił się do Pawła, który umieścił właśnie strzałkę w samym centrum tarczy – czy pan się gdzieś przygotowywał?

– Nie, nie... – Paweł, przestraszony swoim sukcesem, odłożył strzałki.

– Koniak, winiak, jarzębiak czy soplica? – zbliżyła się na moment żona ekonomisty i naraz delikatnie przesunęła mu ciepłą, trochę wilgotną dłoń po policzku i ustach.

Cofnął się gwałtownie. Jeśli jej mąż to widział... Przecież zaraz go stąd wyrzucą. Co ona wyprawia? Jeżeli tamten nawet chciał mu coś zaproponować, to teraz, o ile widział, wszystko już przepadło. Odważył się spojrzeć w jego stronę. Tak, widział to chyba na pewno, nie ma się co łudzić. O co im w ogóle chodzi? O co im wszystkim chodzi? Poczul roztkliwienie nad sobą. Już po dziesiątej, do domu pół godziny. Jeśli wcześniej wyjdzie, to może łatwiej dogada się z Wandą, szybciej będzie mógł zakończyć całą sprawę.

– A, panie dyrektorze, w tym lokaliku nieprzyzwoitym... – rzecznik zakołysał się na krześle i urwał. – Przy okazji – rozpoczął znowu – dyrektorze, mam taką prywatną sprawę...

– Na miłość boską, nie tutaj – zniecierpliwził się tamten.

Rzecznik odwrócił się do niego bokiem i wypił jeden po drugim dwa kieliszki.

– Idiota! – wypłynęło z niego z suchego dekołtu.

– O, ósemka – ucieszył się dyrektor. – Popatrz, Erneście, ósemka. – Przystanął przy oknie. – Tutaj tak miło, ciepło, a na dworze chłodny dzień. Przypomina mi to inny wieczór, zaraz po powstaniu. Pamiętasz, Erneście? Spotkaliśmy się – sami koledzy. Jeden rodzinę stracił, drugi dom, trzeci – zastanowił się – wszystko.

– W tym lokaliku... – rozpoczął rzecznik i machnął ręką. – Wie pan co? Ja mam w dupie zagranicę – poufnie zwierzył się Pawłowi. Co mi się pan tak przygląda? Toż pana wykołują. Myśli pan, że się pan przy niej długo utrzyma? Niesłusznie. – Skrzywił się i pokręcił przecząco głową. – Może i jestem idiota – spojrzał na żonę – może i jestem, ale uczciwy. Napijemy się? – Niezdarnie rozlewając wódkę napełnił kieliszki.

A może właśnie dziś – Paweł zacisnął ręce – zostanie mieszkanie puste? Puste mieszkanie i kartka od niej. Krótka, ordynarna. Że dłużej nie wytrzyma, że się zabiera, że ma dosyć takiego... Albo może właśnie kiedy wróci, ona będzie się pakować. Im później wróci, tym szanse są większe. No bo rzeczywiście może się na to zdecydować. Odgrażała się przecież, że go zostawi, że dopiero wtedy on zrozumie, czym dla niego była, co w ogóle znaczyła w jego życiu. Może jest jednak jakaś szansa...

– ...Więc jeden rodzinę stracił, żonę drugi, siedzimy, wspominamy, nagle lekarz pewien, zasłużony człowiek, poważny, podnosi się z zapalonym papierosem i wychodzi do pokoju obok...

– Otóż mówię panu – zabelkotał rzecznik – że długo się pan przy niej nie utrzyma. A w ogóle to nie pan pierwszy i nie ostatni jest sprowadzony, ma temperament. Chociaż – przyjrzał się uważnie Pawłowi – jak jej pan dobrze dogodzi – mrugnął porozumiewawczo – a on się z nią rozejdzie, to i mieszkanie może zostawi... – Wykonał jeszcze jeden skomplikowany grymas, podniósł się, zakołysał i rzucił strzałkę w kierunku tarczy, odłupując spory kawałek tynku pod czarno-białym obrazem. Żona gospodarza przykucnęła tam zaraz, oglądając wyrwaną strzałką dziurę.

- Panie kolego, usiądźcie – z niesmakiem pokręcił głową dyrektor.
- Bardzo panią przepraszam – spróbowała się uśmiechnąć żona rzecznika.
- Ach, nic nie szkodzi – odpowiedziała tamta nieszczerze.

Matce też udało się z tym wyjazdem na Mazury. Swoją drogą ciekawe, jaka ona jest, córka tej osobistości. Samochód, trzy pokoje. Może jeszcze ładna, to możliwe, chociaż jednak trochę byłoby tego za dużo, za dobrze dla tamtego, bo za co?

Nagle zaczęły do niego docierać słowa rzecznika.

- Właściwie to o czym pan mówi?

Tamten machnął ręką i napełnił wódką trzy kieliszki. Potem dostawił jeszcze jeden.

– ...I wtedy z drugiego pokoju słyszemy strzał. Biegniemy tam wszyscy, otwieramy drzwi i widzimy, że nasz lekarz trzyma w jednej ręce dymiący pistolet, w drugiej dymiącego papierosa, zaciąga się dymem i ten dym wydobywa się przez dziurę w płucach. Potem upadł. – Dyrektor zamyslił się.

Przed Pawłem przesunęła się żona ekonomisty, oparła się na moment o jego fotel i przeszła dalej, ale on odczuł to jak ostre ukłucie. Począł zastanawiać się nad słowami rzecznika. Napotkał wzrok ekonomisty, napięty, czujny, i jeszcze wydawało mu się, że tamten, jakby próbując się uśmiechnąć, przyzwalająco kiwa głową.

Rzecznik wyciągnął z kieszeni zapalniczkę, usiłując zapalić ustawione rzędem kieliszki z wódką. – Franek – zabelkotał – Łysy!...

– Wódka się nie zapali – podniósł się z krzesła ekonomista, zastygając z opuszczonymi sztywno w dół rękami. Podobnie uroczyście znieruchomiał dyrektor. Paweł także podniósł się na wszelki wypadek.

– Ma pani spirytus? – wymówił z trudem rzecznik. – Zresztą – machnął ręką – do spirytusu teraz dolewają wody.

Paweł podniósł się, zrobił parę kroków i uświadomił sobie, że nie jest pijany. Spojrzał na rzecznika, który otrząsnął się i znów próbował włączyć się do rozmowy.

Stał przy wielkim ekranie telewizora, ustawionego w drugim końcu pokoju. „Teraz – pomyślał – teraz ktoś do mnie podejdzie.” I zaraz poczuł, że tamta stoi tuż koło niego. Pochyliła się, przekreśliła gałkę, poczuł dłoń ześlizgującą się po jego czarnej marynarce i wiedział już, że rzecznik ma rację. Przewidywał dalsze słowa i zastanawiał się, co zrobić. Poczuł żal, że nie wypił więcej, a kiedy zobaczył jej twarz, nagle poczerwieniała, i usłyszał, że ma wyjść z tamtymi i potem wrócić, pokręcił przecząco głową. Co teraz powinien zrobić? Odepchnąć ją? Zadenuncjować przed mężem? Może jutro na przykład wyznać mu poufale, po znajomości, jaką to ma żonę, i zasłużyć sobie jego wdzięczność? Tymczasem ona mówiła szybko, przytłumionym głosem, udając, że manipuluje gałkami, żeby był spokojny o męża i o pracę, bo mąż w tym celu go tu przyprowadził, wybranego przez nią parę dni temu, i dalej, o wynikających z tego dla niego korzyściach. Jej oczy były teraz prośące, pokorne.

*

Znowu zaczął padać deszcz. Heniek podniósł kołnierz lotniczej bluzy, podciągnął dwa z sześciu suwaków.

– Heniek! – Wskoczył za nim z drzwi „Dworcowej” miniaturowy, wychudzony, z precyzyjnie zwichrzonymi rzadkimi włosami. – Heniek! Czekaj! – Widząc, że oddala się, dogonił go i szedł obok, ciężko dysząc. Dwie bruzdy na policzkach wydłużały jeszcze bardziej jego jajowatą głowę, postarzały twarz. – Ty, Heniek! One pójda, ale z tobą. Bez ciebie nie pójda! – Uczepił się jego ramienia. Deszcz przyklepał mu włosy, spływał na wystrzępioną marynarkę. Nie zważając na to dreptał obok.

– Zmęczony jestem – mruknął Heniek. Właściwie od rana nic nie jadł, wypił niby nie tak dużo, ale w ogóle nie czuł się dobrze. Zdecydował, że pójdzie do domu. Nie miał ochoty na dalszą zabawę z tamtymi dwiema i z Cześkiem. Mieli iść do Władki, ale u niej była tylko jedna amerykanka z rozwalonymi sprężynami. Tak, w ogóle by się wyciągnął. Odtrącił piszczącego Cześka, który odleciał o parę metrów.

– O Jezu, Heniu! Bez ciebie one nie pójda, a ja już miesiąc nic... Wiesz, cały miesiąc ani-ani... – plątał się dwa metry z tyłu.

– Za ciasno – rzucił Heniek.

– Damy radę. Ty, Heniu, wygodnie, a my jak leci, byle jak. Ty leżysz, ona na tobie, a ja ją... – Przystanął zrezygnowany i powlókł się w stronę „Dworcowej”. Heniek skreślił w boczną ulicę. Kiedy przed swoim domem zobaczył Dankę, było już za późno, żeby cofnąć się albo cokolwiek wymyślić, zresztą był zmęczony. Zainteresowało go nawet, co ona tu robi, wyraźnie chyba na niego czeka, ale o co w ogóle chodzi? Nic jej nie wziął wtedy z domu, więc to nie, a że nie przyszedł, o to chyba afery nie będzie robić, bo to do niej nie pasuje. Zatrzymał się.

– Masz co do mnie? Nie przyszedłem, bo mi coś wypadło.

– Nie przyszedłeś, twoja sprawa. Nie chciałeś, nie przyszedłeś, zgrywałeś się tylko głupio i niepotrzebnie – mówiła zupełnie spokojnie.

– Ja? – zaprotestował. Jeszcze nie wiedział, co na niego szykowała, trzeba ją wyczuć, podpuścić.

– Daj spokój – podsunęła się bliżej ściany. Pochyły dach zasłaniał przed deszczem. – Widziałam, jak szedłeś do mnie przez podwórze, i zabrałam pieniądze spod wazonu. Potem chciałam się z tobą położyć. – Zobaczyła w jego oczach uznanie.

– Ale – zastanowił się – po co żeś tu przyszła? Po co tu stoisz?

Znacznie łatwiej wymawiała już teraz dokładnie obmyślane zdania:

– Pomyślałam, że jak nie znalazłeś nic, to nie wrócisz. Dlatego mówię ci, że jak przyjdiesz, to może jednak coś znajdziesz.

– Coś ty – powiedział.

Wyciągnęła z kieszeni płaszcz zmięte pięćdziesiąt złotych.

– Masz. Przyjdiesz, znajdziesz więcej, zjesz coś, pośpisz. Kupiłam wino...

Przyglądał się jej czujnie. Za łatwo się to wszystko układało, za dobrze. Ale w końcu właściwie co mu zależy? O co chodzi?

– Głupio wypadłem – powiedział.

– Ja też się zgrywałam – wzruszyła ramionami. – Wszystko jedno.

– Ale ty mnie tak przekreśliłaś – skrzywił się z niedowierzaniem. – Ty...

Jednak coś nie pasowało. Dlaczego jej aż tak zależało, żeby przyszedł dzisiaj? Stała, czekała, może już długo czekała, jeszcze na deszczu... Z drugiej strony, z tą forszą tak go odkryła, tak dobrze to odegrała, dorzuciła mu, to pewnie, w ogóle zresztą jest czas, żeby się zastanowić, zwłaszcza że tak stawia sprawę, że ryzyka właściwie nie ma. Bo co mu zrobi? Dała pięćdziesiąt, trzeba pomyśleć. Przespać się u niej, zjeść byłoby całkiem dobrze.

– No to co, idziesz?

– Może – przeciągnął – może przyjdę, ale później.

Zobaczył, jak się szarpnęła, i wyczuł, że znów ma przewagę.

– Dobrze – odwróciła się. – Przyjdź później, jak chcesz. Coś dostaniesz.

– Tak – powiedział zadowolony – później chyba przyjdę.

Patrzył, jak oddala się spokojnym, równym krokiem. Trzeba się zastanowić. Coś bardzo jej zależy. Obejrzał pięćdziesiąt złotych i zawrócił w stronę „Dworcowej”.

*

– Otóż, proszę pana, nie należy ufać ludziom na ogół – zatoczył się lekko rzecznik prasowy przedsiębiorstwa. – Ja tam wspomniałem panu o takiej historii...

Paweł poczuł jego czujne spojrzenie i zastanowił się, czy tamten rzeczywiście był aż tak pijany.

Krążyli razem już z pół godziny w okolicy domu ekonomisty nowymi ulicami, nie pokrytymi jeszcze chodnikiem, ślizgając się po gliniastych wzniesieniach i balansując między kałużami na porzucanych płytach. Deszcz padał coraz większy i Paweł poczuł naraz ochotę na szybki odwrót do domu, gdzie była wprawdzie Wanda, ale po pół godzinie wszystko wróciłoby do normy, byłoby coś ciepłego do picia i w ogóle wszystko byłoby znajome, od dawna ułożone i oczywiste. Minęło sporo czasu, odkąd wyszli. Powinien już tam wrócić, wejść po schodach, zadzwonić, ona otworzyłaby mu drzwi, może już w rozchylonym szlafroku.

Bez rezultatu starał się przywołać uczucie podniecenia.

– Ekonomistę znam od dawna, jest to człowiek wybitnie zasłużony dla przedsiębiorstwa. Poznałem go w minionym okresie. Wiatr hulał ulicami stolicy, prznosił stare gazety, ludzie mieli podniesione kołnierze i niespokojne oczy...

Szedł obok w oblepionych gliną luksusowych butach, z pewnością za wiedzą i namową żony, która powiedziała zresztą wyraźnie, że gdyby się przeszedł, dobrze by mu to zrobiło. Ekonomista nie wyszedł razem z nimi, został na górze, ale ostentacyjnie podkreślał przedtem, że wzywają go ważne sprawy i dziś jeszcze odwiedzić musi przyjaciela zza granicy, który zatrzymał się w hotelu, i kto wie, czy nie pozostanie z nim do rana. Paweł poczuł dla niego coś w rodzaju współczucia i sympatii, że opuścić musi własny dom w taką pogodę, włączyć się gdzieś, i wyobraził sobie, jak tamten podchodzi do żony i pyta, czy on, Paweł, przyjdzie. Brała go sobie dość swobodnie, jeszcze za pośrednictwem męża. Co on o tym właściwie myśli? Jak się będzie w stosunku do niego zachowywał? Czy rzeczywiście go będzie popierał i na ile? Co mu załatwi? A jeżeli nie będzie go chciała na dłużej, to jak on się zachowa? Wyrzuci go? Czy przeciwnie, może polubi? Właściwie – gdyby nie Wanda – toby może tam nie poszedł, to znaczy, gdyby czekał ktoś inny zamiast Wandy. Ale tak to nawet będzie jakiś protest przeciw Wandzie, przeciw temu życiu z nią, posłusznemu i płaskiemu. Raczej go polubi i będzie chyba go popierał, raczej tak.

– Po studiach widzę przed panem świetnie, naprawdę świetnie – zakołysał się na nierównej płycie rzecznik. – Rozkopali, cholera! Dawno mieli skończyć i takie porządki.

Paweł zatrzymał się. Tak, teraz powinien zawrócić, odcepić się od niego i iść do tamtej. A gdyby mu się nie udało odcepić? Wtedy byłby właściwie usprawiedliwiony, mógłby wrócić do Wandy, autobus jest nawet niedaleko. Ale jak by się wtedy zachował ekonomista?

– No – zatrzymał się także rzecznik – to bardzo miło było mi pana poznać. Mieszkam tu – pokazał odległy o kilkadziesiąt metrów blok. Naprawdę bardzo miło.

– To jeszcze odprowadzę pana kawałek – powiedział szybko Paweł. Zawsze jeszcze opóźni się wszystko, jeszcze i dwieście kroków i potem osiemset czy dziewięćset z powrotem. Nogi kompletnie mokre, gardło znowu kłuło. No tak, chyba mam gorączkę – dotknął czoła – chyba tak. Najlepsze będzie, jak się u niej rozchoruję. Ta woda w butach! Jak w ogóle zdejmować takie buty?

Z drugiej strony zbliżały się w ich kierunku jakieś postacie.

– To jak, Heniu, będzie co z tego? O Jezu, co ci zależy? Wrzucisz sobie, i co takiego? – zachlapał w kałuży Czesiek. – Cały zmokłem – zastanowił się.

Heniek pośliznął się na glinie i zaklął.

– Gub się stąd – powiedział – już! Jestem umówiony.

Kiedy po rozmowie z Danką wrócił do „Dworcowej”, tamten znów się przykleił, lał za nim spory kawał.

– Coś ty, Heniu, coś ty?

Z przeciwnej strony nadchodziło dwóch mężczyzn. Heniek pośliznął się znowu. Jednak wypił dzisiaj sporo. Niewyraźnie rozróżniał sylwetki. Jeden był wyższy, młodszy. Słyszał za sobą dreptanie Czeška. Opuścił głowę, przechodząc potrącił jednego z nich.

– Co za zachowanie! Chuligaństwo jakieś! – wykrzyknął rzecznik.

– Niech pan zostawi – zaniepokoił się Paweł, rozglądając się niepewnie.

– Trzeba, proszę pana, tępić na każdym kroku – zaczął tamten. Urwał nagle, uderzony z dołu przez Heńka, zatoczył się na płot i osunął pod nim na ziemię.

Paweł zrobił krok w jego stronę, myśląc ze wściekłością, że to przez tego idiotę i jego głupie gadanie ta cała historia, potem odwrócił się i czując krew w ustach upadł w kałużę. Leżąc uświadomił sobie, że tamten uderzył go z tyłu bardzo mocno, chyba miał coś w ręku. Naokoło wzbierało lepkie zimno. „W tym stanie już w ogóle nie mogę tam iść” – przestraszył się. Tamci odsunęli się parę metrów; chyba dadzą już spokój. Podniósł się, dotknął ostrożnie dłonią twarzy, przestraszył się silnego bólu, czerwonych śladów na dłoni. Bolały go plecy – padając uderzył o coś twardego. Podniósł prostokątną bazaltową kostkę, obejrzał ją ze zdziwieniem; nie czuł jej ciężaru.

– Uwważaj, Heniu, ma kamień, uważaj! – zapiszczał jakiś głos. Ten, który uderzył go przedtem, szeroki w skórzanej kurtce, szedł w jego stronę manipulując przy kieszeni. Tak, Paweł widział to już teraz wyraźnie – miał w ręku nóż.

Rzecznik podnosił się wolno. Tamten ostrożnie przystanął.

Po co ten nóż? Po co? Nie, to przecież niemożliwe, żeby pomyślał, że rzuci w niego kamieniem, to niemożliwe! Może by upuścić kamień na ziemię? Tamten by zrozumiał... Albo zacząć uciekać już, nagle, po tej płycie na lewo – tam dalej jest trochę suchego. Są chyba pijani, nie dogoniliby go. Jakies dwieście kroków i klatka schodowa... Spojrzał błagalnie na tamtego. Nie widział wyraźnie jego twarzy. Tak, upuścić kamień. A może upaść? Wtedy chyba dałby spokój. To jeszcze pewniejsze od kamienia. Spojrzał na ziemię.

Nagle zatupotały kroki. Kątem oka zobaczył, że rzecznik biegnie w stronę domu.

– Chodź, Heniu! Trzaśnij i chodź. Bez ciebie w ogóle się nie ruszą, a ja już... – nadpłynął piskliwy głos.

Nie mógł się przewrócić, nie mógł upuścić kamienia, mięśnie miał zupełnie sztywne. Zresztą jeśli upadnie, tamten zacznie go kopać. Poczł straszną słabość. Poruszył nogami – jednak mógł wykonać jakiś ruch. A gdyby rzucić? Rzucić w tę twarz przed nim? Zamazać ją jeszcze bardziej? Nie, nie zdążyłby nawet zamachnąć się. Tamten mógłby się uchylić. Wyciągnął dłoń z kamieniem do przodu, chcąc jakby oddać go tamtemu, a jednocześnie przytrzymać go na odległość ręki. Wtedy Heniek uderzył. Dwa razy, mocno, starannie. Paweł zabelkotał coś i wolno usiadł w kałuży. Opierając się o płot podniósł się na zgiętych nogach, pochylony, zrobił parę kroków. Ślizgając się rękami po deskach i zataczając począł biec. Słyszał ich za sobą. Ciągle nie wierzył, że to może być koniec. Właściwie nie biegł już, tylko słał się po rozkopanej ulicy, czując krew w ustach i na przyciśniętych do brzucha dłoniach. Zrobił jeszcze parę kroków i upadł. Spróbował się podnieść, przykleknął i naraz ciężko poleciał na twarz, kopiąc rozmokłą ziemię.

– O Jezu, Heniu! Coś ty, coś ty, Heniu! mały, przemoknięty Czesiek wycofywał się wzdłuż płotu. – On się kończy.

Heniek obejrzał zabrany rano bratu nóż, wytarł go ręką, złożył i schował do kieszeni. Czesiek oderwał się od płotu, ostrożnie wyminął leżącego.

– Złapią cię, Heniu.

– Dlaczego akurat mają złapać? Tamten chyba nie rozpozna – spojrzał w stronę bloków. Zawahał się chwilę i ruszył w przeciwną stronę. Nie widziałeś mnie od wyjścia z „Dworcowej”. Tak?

– Tak, Heniu. – Czesiek spiesznie dreptał obok. – Tak jest, Heniu. – Obejrzał się. – Ale jak cię jednak złapią...

– Pewnie konopie. – Heniek zatrzymał się nad wylotem ścieku, wyciągnął z kieszeni nóż i uważnie celując wrzucił go do otworu.

– Myślisz? – zatrząsł się Czesiek. – Powieszają?

– On pewnie nie żyje albo mu niedużo brakuje – zastanowił się Heniek. – Widocznie tak miało być. No już. Skręcił w ulicę, na której mieszkała Danka.
– No już! Wracaj i wiesz, co masz mówić.
– Tak jest. Jednakże, Heniu, może byś zawrócił ze mną, wiesz... z tymi dwoma... bo bez ciebie nie ma co... A i tak, jak idziesz...
– Jazda! – machnął na niego Heniek. Mówiłem, jestem umówiony. I nie widziałeś mnie.
Wszedł na chodnik, spojrzął na zabłocone buty, podniósł kawał mokrej gazety i uważnie usunął z nich glinę. Miało tak być – pomyślał – trudno.
Skręcił w otwartą jeszcze bramę.

*

Li st do pa ni Władysławy M. z amieszkałej w R., województwo P.
Kochana Mamo!

Nie wiem, czy się Pani nie obrazi, że tak Panią nazywam. Ale dla mnie to najlepiej, i mnie z tym dobrze. Piszę do Pani ten list mając nadzieję, że może jakoś dotrze on do Henia. Marzę, aby kiedyś otrzymać od niego list, choćby krótki, byłby dla mnie teraz moją radością i moim szczęściem i zwiastowałby mi Henia.

Co oni z niego robią? Czy w ogóle nie ma na świecie żadnej sprawiedliwości? Proszę mi wierzyć, że nie mogę się w żaden sposób skupić, kiedy pomyślę, jak mu się ta pętla zaciska na gardle, ale muszę jednak to napisać do Pani i tym się z Panią podzielić. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę mogła kogoś kochać. Prawdę mówiąc, nie znałam Henia bliżej, jak tylko z ekranu szklanego w czasie nadawania zeznania, i poczułam od razu, że coś się dzieje ze mną niezwykle. Już czytając uprzednio gazety informowana byłam o tej sprawie. Tak więc skupiliśmy się tego wieczora przy odbiorniku z zaproszonymi osobami, bo na to oczekiwali wszyscy w naszym miasteczku, więcej nawet niż na jakąkolwiek inną okazję, taką jak „Kobra” albo Simon Templar, przez to, że to miało być naprawdę. Podczas nadawania tej audycji był więc przy tym mój ojciec, matka, mąż siostry ojca i jeszcze jeden, który pracuje z ojcem w Radzie Narodowej, ale jest o wiele młodszy, ma lat 25, podczas gdy ja sama mam 16. A ja wtedy od razu poczułam, że przyszła miłość, ale jakaś dziwna, tylko wtedy nie mówiłam nic, chociaż myślałam, że oszaleję, kiedy Henio opowiadał, jak wyjął nóż i jak, to uderzył. A tego drugiego żeby zmory zjadły w więziennej celi za to, że Henia nie zatrzymał, że narobił tyle krzywdy biednemu Heniowi i kochanej Pani. Matka moja podczas audycji mówiła o chuligaństwie i że obawiałaby się wyjść na ulicę, ojciec potwierdzał, a pan Kazio, że on się nie boi i że z chuliganami, jak którego spotka, to trzeba tak: za kudły i o kolano, a potem poprawił się, że najpierw łba, a potem dopiero za te kudły. Myślał, że mnie tym przyjemność sprawia, a ja patrzyłam tylko na Henia, na ten jego uśmiech smutny i tę rękę z piratem, na co matka też mówiła, że to bandziorstwo robić sobie takie ręce. A ja czułam, jak napadają mnie bolesne chwile, które rozdrapują mi serce na kawałki, bo omawialiśmy teraz poemat lorda Jerzego Byrona *Korsarz* w budzie, a oni tego nie rozumieją, a sam ojciec wykuł sobie w powstaniu kotwicę pod łokciem. I tak Henio też chciał walczyć, bo mu to życie nie odpowiadało, tyle że nie umiał, ale musiała w nim być ta potrzeba, której inni ludzie nie rozumieją, jak zawsze w takich sytuacjach, co jest ogólnie wiadome. Bez Henia brakuje mi czegoś. Z falą popłynąć nie można i niepodobna. A ja poprzez męty uczuć mych sentyment widzę, słyszę. Przepadnę, i on także, bo uważam, że jedyną bronią przeciw fatum naszego życia jest dobra gra: zdolność oszukiwania ludzi i siebie aż do ostatka i ostatniego tchnienia. Ale on był do tego za uczciwy i dlatego musi zginąć, dlatego rozpamiętuję teraz jego uśmiech, włosy, oczy, które miał chyba czarne. Czy tak? Że też Henio nie mógł się zahamować przedtem. Żeby nie pił z tamtym drugim i z tymi lafiryndami, ancymonkami, panienkami z miasta ulic! Podłe dziewczuchy, bo inaczej chyba nie mogę tego ohydztwa nazwać. Mąż Stasi, czyli siostry ojca, niby mądry, mówi o tym wszystkim, że to przekroczenie prawa i bezczelna niemoralność. A ja jego widziałam, jak wchodził do sąsiadki obok, która też jest niezła obrzymka, i przebywał u niej długie chwile. Niby kupując od niej nasiona, które ona ma najlepsze, hoduje kwiaty, zwłaszcza róże, o czym pisali w gazecie. Ja to podejrziałam nie z ciekawości, tylko tak się złożyło, ale nikomu nie powiedziałam i tak zostało z tym kłamstwem i oszczerstwem. Po audycji opowiedziałam wszystko tatusiowi, który poczuł, że coś się dzieje ze mną niedobrego. Począł mi tłumaczyć, że to nic, tylko chwilowe oczarowanie, bo rodzice dzieci nie zrozumiały, a ja w parę dni schudłam 3 kilo. Bardzo przepraszam za ten mój list, ale nie panuję nad sobą. Profesorowie dziwią się, co się ze mną dzieje. Z powszechnie lubianej Gosi zrobiło się ze mnie nie wiem co. Ciągłe krzyczę: „Dajcie mi Henia, dajcie mi wielkiego uczucia tchnienie szerokie.” Koleżanka z mojej klasy nie chciała uwierzyć, żebym ja coś takiego odczuwała, ale ona jest inna i ma narzeczonego w naszej klasie. Czasem słyszę jakieś szept, szmery, stapania. Ale słyszą to także moi rodzice i pilnują mnie na każdym kroku, boją się o mnie, ja natomiast drwię sobie z tego. Lubię te chwile, pieczę się nimi, bawię się gorączką wyobraźni, co mi serca tętno tak rozkosznie przyspiesza. Mogę się Pani zdradzić w zaufaniu, że ja, kończąc szkołę, postanowiłam ostatecznie, że będę pracowała jako oficer śledczy – detektyw. Już za trzy lata, jeśli będziemy do siebie pisywały, zobaczy mnie pani jako oficera. Ja również pragnę, aby Henio dostał mniejszy wyrok. Wszystko by wyglądało inaczej, oczekiwałabym go, a on by się jakiegoś fachu wyuczył. Z Heniem nie bałabym się niczego i nikogo i byłabym przy nim jako rozumiejąca

przyjaciółka do czasu śmierci. Ale to byłoby tylko możliwe, gdyby się zgodziła Rada Państwa na ułaskawienie. Na razie wysłałam tam prośbę, ale mój tatuś zmartwił mnie okropnie mówiąc, że jest to niemożliwe. A ja widziałam w telewizji, jak zabijają dzieci nawet młodzi żołnierze amerykańscy, i nic im za to. Ja sądzę osobiście, że młodej dziewczyny uczucia więcej znaczą niż wszystkie inne. Jeżeli ta prośba ich nie wzruszy, to są zupełnymi głazami bez serca. Jak nie przyjmą mnie do tej szkoły, to pójdę do więzienia jako inspektor, i też musi grać, na nie? Wtedy ja bym zagrała rolę. Byłabym bezlitosna i w ten sposób pomściłabym Henia. Może to nieładnie, ale ja złożyłam taką przysięgę i jej dotrzymać muszę, choćbym miała głowę mur zburzyć. Opuściły mnie siły moje, ciało czuję, ból czuję, w piersiach dławi, dusi. Rodzice mi wyższość zdrowego zwierzęcia współczuciem okazują. Nienawidzę współczucia, brzydzę się nim, chcę być sama. Każdy mówi – zapomnij. Nie, ja nie zapomnę. To się odradza, to powstaje. „Miłość, co była już w grobie chłodna, krew poczuła, spod ziemi wygląda, zemsty żąda i jak upiór powstaje” – tak samo jest z moim uczuciem. Teraz smutek jest moją trzeźwością. Poszłam do księdza i opowiedziałam mu wszystko to, co wiedziałam. I zgodził się na mszę świętą. Będzie to w niedzielę najbliższą o jedenastej rano, po mszy młodzieżowej. Teraz już muszę kończyć pisanie, bo nadchodzi matka, która zaraz zwróciłaby uwagę na to, do kogo piszę, i byłyby przykrości. Kończę, bo mogę tym Panią znudzić. Czekam na odpowiedź i żegnam Panią, kochana Mamo, jako wiernego korespondenta i bliską osobę. Pozostaję kochająca Panią

Gosia.

NOWY TANIEC LA-BA-DA

Konsul szwedzki pojechał z żoną do Istanbuhu, a to była bardzo piękna kobieta, blondynka, włosy formalnie do ramion...

– Niech pan sobie wyobrazi, w czasie okupacji jest łapanka...

– Więc wiesz, no, ten facet zaprosił tę dziewczynę na przejażdżkę swoim samochodem za Warszawę...

– No chodź...

– Nie...

– Bo wie pan, żeby pan ją znał, jaka to była czarująca kobieta. Przyjemna, miła, tylko niestety absolutnie łysa...

– Mój poziom naukowy jest oczywiście niższy od pańskiego. Świadczy o tym moje błędne wysławianie. Rozczarowany jestem, bo mając czterdzieści dziewięć lat nie umiem przelać tego, co czuję. Jestem wyeksploatowany fizycznie i psychicznie, a co gorsza, do dziś dnia nie zdobyłem sobie zawodu.

– I w czasie łapanki nagle powstaje taka sytuacja...

– Więc ona zgodziła się na tę przejażdżkę tym jego samochodem i wtedy on ją wsadził do tego samochodu, i za miasto, znaczy wywiózł ją za miasto...

– No chodź...

– Nie.

– I właśnie przygotowałem jej perukę, a nigdy jeszcze nie robiłem tego choć trochę równie pięknej kobiecie...

– Po wyzwoleniu zorientowany byłem politycznie i oddałem się pracy społecznej, aby pomóc utrwalić władzę ludową. Rozbudowę trzyletniego planu, sześcioletniego planu...

– Bo w Istanbule, trzeba panu wiedzieć, kobieta w ogóle nie może sama pokazać się na ulicy, zwłaszcza, oczywiście, jak to mówią, biała kobieta, szwedzka.

– Po zawarciu aktu małżeńskiego z córką jedynaczką u wdowca, sześćdziesiąt trzy lata, osiadłem na ich dwóch ha gospodarstwa.

– A kiedy on wywiózł ją za Warszawę tym swoim samochodem, to zaczął się do niej dość ostro dobierać.

– Gospodarstwo to w przeciągu dwóch lat zrewolucjonizowałem. Niektórzy się podśmiewali, chcieli mnie rozstawić z teściem...

– A ona była taka piękna w tej peruce, że pełno mężczyzn chciało się z nią żenić...

– I nagle w czasie tej łapanki podchodzi do mnie ogromny gestapowiec i kopie mnie w dupę... I mnie to niesłychanie podnieca.

– No to się strasznie cieszę, że cię widzę. Pamiętasz, taka chwila, i akurat dziś... Gdzie masz stolik? Sam jesteś? Siadaj z nami. Zajrzyj przed północą, wypijemy. Poznaj Inę, moją... tę... narzeczoną. Co za zdarzenie!

Naręczona podała mi rękę. Była nieduża, tęgawa. Ostro wycięta suknia odsłaniała białe, pełne ciało.

Poruszyła się szeleszcząc zwojami tafty. Na plecach, tam gdzie ramiączka sukni wpijały się w ciało, powstawały czerwone znaki.

– A to moi przyjaciele. – Uścisnąłem dłonie dwóm mężczyznom w identycznych czarnych garniturach i srebrzystych muszkach. – A to jest Blanka. Musiałeś o niej słyszeć albo widzieć ją w telewizji, bo śpiewa.

Blanka przyjrzała mi się uważnie, była nawet dość ładna, chyba rzeczywiście śpiewała w jakiejś kawiarni. Ucałowałem rękę jeszcze jednej kobiety, która stała z nimi, i odszedłem w stronę wielkiej sali, gdzie zaczęto tańczyć. Obejrzałem się jeszcze raz za tamtymi, ale wtopili się już w tłum, przemierzający nerwowo salę w poszukiwaniu miejsca, kotłujący się przy stolikach. Długie, szerokie okna zasłonięto błękitną bibułą ozdobioną gwiazdami i tylko przez szpary można było zobaczyć jezioro, które zresztą wyglądało teraz jak zwykle, pokryte śniegiem pole. Po schodkach przeszedłem do małej salki szczelnie wyklejonej połyskliwymi plakatami, w której urządzono bark. Tutaj tłoku jeszcze nie było. Wypiłem jakąś wódkę, potem następną, realizując bony konsumpcyjne, cofnąłem się pod ścianę i obserwowałem ożywionych ludzi, wykonując szklanką ruchy celowo bezsensowne i wolne, ale nikt nie zwracał uwagi na moje ironiczne istnienie w rogu koło srebrno-błękitnego okna, więc przestałem wywoływać w sobie uczucie pogardy i starałem się teraz przez jakiś czas odnaleźć uczucie

radości, że jestem bez Ewy, że mogę spokojnie stać pod oknem i wykonywać takie właśnie wyniosłe gesty. Potem zrezygnowałem z poszukiwania satysfakcji i próbowałem odczuwać tylko ulgę.

– Ale ona była taka lojalna, że jak jakiś narzeczony oświadczył się jej, to ona zawsze mówiła: „Owszem, kochanie, ale ja jestem łysa.” I zdejmowała perukę...

– Teść, choć był sfanatyzowany, nie dał na mnie złego słowa powiedzieć, szczyił się mną, „wy się śmiejecie, a my pieniądze będziemy rachować”, bo ich nam nie brakowało...

Przesuwałem się w stronę sali głównej. Przy wejściu kilkanaście osób patrzyło w górę, na krążącą pod sufitem lampę w kształcie sputnika, dającą kolejno światło czerwone, zielone i białe.

– Bardzo dużo przychodziło do mnie młodzieży, bym ich uczył grać na akordeonie. Po tej linii miałem też kwalifikacje i często grywałem na różnych uroczystościach towarzyskich zarobkowo. Dużo tym pomagałem sobie, a jeśli chodzi o naukę młodych, to z zamiłowania bezpłatnie uczyłem ich.

– No chodź stąd!

– Nie.

– Więc kiedy ten gestapowiec kopnął mnie w dupę, to mnie to niesłychanie podnieciło.

– I rozumiesz, on wywiózł ją za miasto i skręcił w boczną aleję.

– I wtedy, jak ona zdejmowała tę perukę, to w ogóle każdy uciekał.

Przepchnąłem się w stronę umieszczonej w rogu estrady, gdzie wodzirej przeprowadzał naukę najmłodniejszego nowego tańca la-ba-da.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la-ba-da, bęc.

– Ferma drobiu promieniowała w całej Polsce, niestety, trzeba było pomóc władzom, które borykały się z trudnościami. Coraz więcej czasu traciłem na pracę społeczną, społeczeństwo zaczęło mnie zniechęcać, ja widząc obce do mnie ustosunkowanie się społeczeństwa przyjmowałem funkcje. Spółdzielnie trzeba było zakładać, byłem przekonany. Nie wiedziałem nic o tym prymitywizmie na wyższym szczeblu, jakim był kult jednostki. – Podał mi kieliszek dużą dłonią, jakby za dużą dla niego, powiększoną przez to jeszcze, że wyłaziła z przykrótkich rękawów czarnej marynarki, która z przodu w ogóle nie mogła się dopiąć, wcisnął mi go i te za duże ręce przyciągnęły mnie bliżej, a on mówił wyschniętym, matowym głosem, mówił dalej, chociaż nie znałem go w ogóle i nie odpowiadałem. Zaczął opowiadać może dlatego, że zatrzymałem przez chwilę wzrok na nim, to znaczy na tych rękach, kusej marynarki i pozacinanej przy goleniu, cienkiej szyi, przeciętej zmarszczkami, w których zaschły ślady krwi. Mówił więc, chociaż przerywałem mu, tłumaczyłem, że musiał się omylić, że w niczym mu nie mogę pomóc, dalej wypowiadał jednostajnym głosem słowa, do których nie miał żadnego przywiązania, i mówił jakby bez nadziei, że któreś z nich może mną wstrząsnąć, poruszyć, wytrącić z obojętności. Dlatego pewno nie kontrolował mojego zachowania, nie badał, czy słucham, tylko manewrując rękami przytrzymywał mnie, przesunął się za mną stale.

– Działo się to ze mną, działo! A co się działo? Takie głupstwo, że mi nagle dwudziestoczteroletnia żona zmarła. Co tam, głupstwo z żoną. To jest sprawa spółdzielni.

– Tak więc jednego razu ta żona szwedzkiego konsula prosi go, żeby wyjechali sobie, ot tak, wieczorem na spacer. A potem mówi mu: „Zatrzymaj, kochanie, na chwilę, przejdźmy się.”

Bo ona nic nie wiedziała o tamtejszych zwyczajach...

– Ale raz spotkała takiego mężczyznę, że jak zdjęła przed nim perukę, to on ani drgnął.

– No chodź...

– Nie mogę, jestem z kimś.

– To niemożliwe: pogrzeb kościelny, żona działacza – tak mówili.

Z boku pomachał mi ten dawny kolega. Próbował z narzeczoną wciągnąć się w la-ba-da.

– Co u ojca? – krzyknął. – Zresztą pogadamy potem. – Uśmiechnął się i otarł pot z szerokiej, zarumienionej twarzy.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, la-ba-da...

– Była noc. Budzę się, a tu stoi osoba nade mną, trzy ma siekiere w rękach. Prawie miał zadać cios. Szybko pochwyciłem go i odebrałem mu tę siekiere. Mówię do niego: „Teściu, co wy robicie?”...

Przeciskałem się przez coraz ciasniej wypełnioną salę, wirujący sputnik rzucał teraz światła srebrzyste i żółte, odbijające się efektownie w chromowanych poręczach krzeseł. Anna miała stół blisko zasłoniętego okna, pomachała mi ręką, Tomasz napełnił kieliszki, uśmiechając się uprzejmie. „Nowy Rok, Nowy Rok” – zanucił. Odpowiedziałem ciepłym uśmiechem. Anna pogłaskała go po twarzy.

W sali balowej nastąpiło pewne zamieszanie w związku z przygotowaniem do występu artystów. Wodzirej zapowiedział przerwę w szkoleniu w la-ba-da i zaprosił na estradę piosenkarza. Nasz stół znajdował się na podwyższeniu, więc wszystko było znakomicie widać. Piosenkarz był bardzo młody, śpiewał historię o chłopaku ze Śląska, którego Niemcy wzięli do wojska, ale on nie chciał walczyć z braćmi, więc zamknięto go w celi, a on wtedy myślał o swojej dziewczynie. Czterech chłopców z gitarami włączało się chórem we fragment a dziewczynie.

Anna zapytała, gdzie się podziewałem, i teraz mnie pogłaskała po twarzy. Wyjaśniłem, że chciałem obejrzeć wszystko, że teraz się tańczy nowy taniec la-ba-da – trochę ją to zainteresowało. A ja zastanawiałem się, co tu właściwie robię, po co siedzę z nimi przy stoliku, i zacząłem przez chwilę rozczulać się nad swoją sytuacją, swoją samotnością tutaj, a potem pomyślałem o pierwszym spotkaniu z Anną, kiedy po odejściu ostatnim Ewy zdecydowałem się podejść do niej, a przedtem długo ją obserwowałem, bo jadaliliśmy w tym samym miejscu obiady. Przychodziła tam z Tomaszem, którego również nie znałem, ale kiedyś zjawiała się sama i wtedy przysiadłem się, bo naokoło nie było miejsc, a właściwie ta ona uśmiechnęła się i zaproponowała, żebym usiadł.

Tymczasem chłopak w tej piosence został rozstrzelany, zresztą do końca myślał tylko o swojej dziewczynie, w związku z czym zdawać się mogło, że nie zrobiło to na nim większego wrażenia. Chłopcy na gitarach urwali, włączył się perkusista imitując werbel, zgasło światło, po czym na estradę wbiegły cztery modelki w spódniczkach mini. Sala zareagowała żywymi oklaskami.

Wtedy Anna zgodziła się iść ze mną do innego lokalu, potem jeszcze innego, a kiedy odprowadzałem ją o trzeciej nad ranem do domu, trzymaliśmy się za ręce i szliśmy przez park, a ona podnosiła liście z ziemi i układała z nich bukiet, do którego ja, radośnie rozczulony, dołożyłem parę liści, a ona, zawsze dotąd obojętna, biegła teraz z rozsypanymi włosami, co było wspaniale zaskakujące. Potem wyszliśmy z parku, znów trzymając się za ręce, i szliśmy już między kilkoma starymi, ocalałymi w czasie wojny domami, gdzie Anna kiedyś mieszkała. A dalej było dawne getto, tam gdzie stoją teraz nowe bloki. Weszliśmy do takiej ocalałej bramy już inaczej, uroczyście, ona szła pierwsza, a ja za nią, poruszony odkryciem jej wrażliwości wielkiej i smutku, którego w niej nie przeczuwałem.

– Więc ona stoi przed nim kompletnie łysa, z gołą głową; a on jej na to mówi: „Kochanie, ja cię kocham nie za twoje włosy, tylko za inne względy...”

Starałem się stapać cicho, bo nasze kroki rozbijały uroczystą ciszę. Anna powiedziała, że tam dalej, w bramie, są kolorowe kafelki, które pamięta z dzieciństwa, i były te kolorowe kafelki. Że dalej będzie kolorowa szyba, i była szyba. Potem znów wywoływała obraz tamtego muru, opierając się o kafelki parę metrów ode mnie, i wyglądała teraz bardzo młodo.

Spod błękitno-srebrzystego nieba z bibuły obserwował mnie tamten obracając w za dużych rękach kieliszek. Przedtem obszedł dwa razy stolik, teraz stał tam, oparty o framugę okna, stał prawie bez ruchu, czasem tylko wychylał się, kiedy rozdzielali nas przechodzący ludzie, sprawdzał, czy siedzę dalej, i spokojnie czekał.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la-ba-da, la-ba-da, bęc! – rozbrzmiewało znów z sali głównej. Teraz spory tłum przesuwiał się do sali balowej. Uniosłem się na próbę i zaraz poruszył się tamten przy oknie. Usiadłem myśląc znowu o tamtym wieczorze z Anną, o tym, jak wzruszałem się tą szybką i tymi kaflami, podbijałem w sobie to wzruszenie starając się nie myśleć o Ewie.

– I niech pan sobie wyobrazi, otóż po tym ślubie zaczęły jej odrastać włosy na skutek miłości...

Posunąłem się w stronę sali holującej za sobą tamtego.

– Więc mówię do niego: „Teściu, co wy robicie?! Przecież gospodarstwa nie oddałem do spółdzielni. Cóż ja jestem winien, że Marysia zmarła?” Widząc jego rozczarowanie gwarantuję mu, że odejdę od niego, zostawię mu całe gospodarstwo, które tak rozbudowałem i zagospodarowałem.

Potem przytuleni wchodziliśmy po schodach, minęliśmy szereg drzwi, zatrzymaliśmy się na końcu korytarza. Anna powiedziała, że znalazła niedawno koło domu, w skopanej ziemi, srebrny pierścionek, a na nim dwa imiona i gwiazdę, i wtedy długo nie mogła się uspokoić. Wyjęła klucze i widząc, że robię krok do przodu, szepnęła, że nie mogę wejść dalej, ponieważ czeka na nią ktoś, kogo kocha i kto ją kocha bardzo. Zacząłem ją całować, a wtedy ona pociągnęła mnie kilkanaście metrów dalej, gdzie była winda, powiedziała, że po tym pierścionku długo nie mogła przyjść do siebie, i przyłgnęła do mnie mocno. Przesuwała dłoń coraz niżej, wolno osuwając się na kolana. A ja oparłem się o ścianę i najpierw myślałem, że zacznę się śmiać, a potem starałem się nie myśleć o niczym.

– I wtedy jak ten konsul szwedzki z żoną wysiadł z samochodu, to zaraz obkoczył ich tłum Turków.

– Wyzywał na mnie: „Ty bezbożniku, komunisto, bolszewiku, ty świni! Pan Bóg polecił mi cię zabić!”...

– I teraz we mnie narasta konflikt: czy oddać się temu gestapowcowi, a był to cudowny chłopak, czy zachować się z godnością i dać mu w twarz.

– Jak się zaczął do niej zabierać, to ona wysiadła z samochodu. Więc on jej mówi, żeby go chociaż pocałowała...

– „Zabiję, zabiję cię, nie ujdiesz z życiem. Pan Bóg skarał mnie za to, że trzymałem cię domu. Dawno ludzie o tym mówili... Skarał mnie tak, że córkę zabrał. Ale wiedział Bóg, co robi. Biedna męczenniczka miała za męża antychrysta z samego piekła”...

– A jak by się pan zachował na moim miejscu po takim kopnięciu?

– Wtedy ona zgodziła się, wsadziła głowę przez okienko do auta, a on przykręcił jej głowę szybką i zaszedł ją od tyłu.

– Tańczymy la-ba-da... – Wodzirej urwał na moment, spojrzął na zegarek i przypomniał, że za dwadzieścia minut, czyli o godzinie dwudziestej czwartej, odbędzie się zapowiedziana w programie eksplozja sztucznych ogni.

Przepychałem się między tańczącymi, ale tamten kluczył za mną i chociaż chwilami zostawał z tyłu, docierały do mnie coraz nowe fragmenty jego sprawy. Przez chwilę próbowałem go przekonać, żeby dał spokój, ale on nie przerywał, sunął za mną ciągle, chociaż nie wyglądał na pijanego.

– Miałem dwie drogi do wyboru: zgłoszę tę sprawę do prokuratora, co zakończyłoby się kryminałem teścia, ale po rozpatrzeniu sprawy wybrałem drogę drugą – humanitarną. Odszedłem pozostawiając teściowi całe gospodarstwo, udowadniając, że są działacze partyjni o wysokim humanizmie socjalistycznym. Nie tak, jak ludzie mówili, że najgroźniejszy człowiek na świecie to jest komunista.

Ten mój kolega wyćwiczył już zupełnie niezłe nowy taniec la-ba-da, tańczył go dalej z narzeczoną. Pomachał do mnie rozpromieniony i znowu zakotłosał nierytmicznie ciałem. I właśnie teraz, dopiero teraz poznałem go.

Kubula trącił mnie w ramię. Przyciskał w tańcu tę rudawą piosenkarzkę. Przyjrzałem jej się uważnie. Właściwie nie była ładna: szeroka, dosyć pospolita twarz, za duże usta. Ładne miała tylko oczy.

– Słyszałem, żeście się już poznali i zrobiłeś dobre wrażenie. Spodobałeś jej się. Kubula wie o wszystkim. No nic, zjrzę teraz do Anny. – Przystanęli koło mnie. – Prawda, że Kubula dobrze tańczy? Fajny jest Kubula, nie? Dziewczyny lubią Kubulę. Wpadniemy razem do Anny?

Wyjaśniłem, że z Anną rozstałem się przed chwilą i teraz chcę się trochę rozejrzeć. Kubula wziął Blanę za rękę i pociągnął ją do drugiej sali. Obserwowałem znowu taniec tamtego kolegi, dziwiąc się, jak mogłem nie poznać go od razu. Opowiadałem przecież o nim wiele razy, opowiadałem Ewie wtedy, kiedy jeszcze wszystko było dobrze, ona śmiała się, a ja odczuwałem jednak dumę, że znalazłem dla niej pokój, wyciągnąłem ją od matki, widziałem w jej oczach ogromną wdzięczność i nadzieję na rozpoczęcie normalnego życia.

Coraz więcej osób umiało tańczyć nowy taniec la-ba-da. Tuż przede mną kołysał się ten kolega. Jego serdeczność i wylewność, wyćwiczone starannie już wtedy, przetrwały, nawet w nieco ulepszonej formie. Przypomniałem sobie tę zabawę szkolną sprzed lat dziesięciu, kiedy odwołał na obok aktywistów i powiedział: „Koledzy, wróg dostał się na zabawę”, następnie usiadł przy radioli i zaczął pacyfikację płyt: tango o ustach czerwonych odpada, samba, gorący rytm, odpada, fokstrot *Kolej-kolej* na razie odłóżmy na bok.

– Wydzielono mi działkę przyzagrodową ze spółdzielczego pola. Z przybraną żoną i z dzieckiem po pierwszej żonie zamieszkałem w zbitej z desek odpadowych izbie. Społeczeństwo, podobnie koledzy z aktywu, jeszcze bardziej kiło mnie. Mówili między innymi: „Chciało mu się Kalwarii, to niech śpiewa”, tak więc załatwili się ze mną za ten pogrzeb kościelny. Stwierdzić muszę, że dostałem pomoc od obcych ludzi, nie związanych ze mną. Ludzie ci znali mnie z muzyki o wysokim stopniu.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni dyrekcji, że urządziła nam wypoczynek sylwestrowy właśnie tutaj, w perle miejscowości. Bo to i las, i woda. Dlatego też proponuję wzniesienie zdrowia dyrektora tym symbolicznym kieliszkiem wina.

Dlaczego teraz wczepiałem się jeszcze ciągle w Ewę, może po prostu ze strachu? Zresztą ona przedtem też wczepiała się we mnie, wymagając rzeczy, których wymagać nie miała prawa. Wiedziałem, że mam sam zbyt mało, że to, co jej dawałem, jest okradaniem siebie, ponoszeniem ofiary, ofiarowując czułem się skrzywdzony, miałem świadomość upływającego czasu, wymykania się życia i sposobności. Za to miałem jej wdzięczność, oddanie i ufność, za dużo ufności; to obnażało moją słabość.

O litość prosiłem ją coraz częściej, o spokój, litość. Oskarżałem się chętnie, wiedziałem przecież, że daję zbyt mało, ale inni dawali jeszcze mniej i jej, i mnie. Jednak wszystko, co dawałem, było skażone wyrzeczeniem, osaczałem ją swoim egoizmem, zapewniałem, że czuję swoją małość, mam wielki żal do siebie. Oskarżałem się bardzo chętnie, szaszczywałem głośno, co oczywiście nie było żadnym usprawiedliwieniem, bo pozostawały zdarzenia, zachowania, słowa, których samooskarżenie nie mogło wyciszyć, zatrzeć. Chyba próbowałem także sprawić, aby stała się taka jak ja, i za to miała do mnie żal największy. A ja próbowałem długo narzucić jej swoje widzenie wszystkich spraw i robiłem to konsekwentnie, rozbijając jej wiarę, niszcząc jej wartości – dopiero potem zrozumiałem, że miała tej wiary jeszcze mniej ode mnie, że wiedziała chyba o wiele więcej i dlatego właśnie broniła się tak zawzięcie, broniła tego, co jeszcze między nami było, potrafiła być długo taka silna.

– Wznosząc ten kieliszek symboliczny życzę wszystkim pracownikom szczęśliwego Nowego Roku.

– Nie łamałem się, działałem sercem i duszą i z siłą, jak było potrzeba w spółdzielni. Około dwa razy w tygodniu prowadziłem wieczorki taneczne. Ciężko pracowałem półtora roku w warunkach niehigienicznych, po szesnaście godzin. Przez cały czas nie miałem święta, pracowałem jako oborowy opiekując się dwudziestoma siedmioma sztukami bydła.

Jednak nie mogłem odejść od Ewy zbyt daleko. Ta odległość teraz była dobra, lepsza, chociaż właściwie nie była to nawet odległość, tylko przepaść. Nie chciałem w to do końca uwierzyć i myślę, że ona też, chociaż była już z kimś, a ja temu nie przeszkodziłem. Dalej czepialiśmy się siebie płacąc za to wielką cenę, bo nie mogliśmy wypełnić tego niczym ani poprawić, ani złączyć. Wykonywaliśmy tylko półposunięcia, półgesty, potem przykrywane różnymi słowami, których fałszu ukryć się nie udawało.

– Więc jej mówię: „Co będziemy łączyć po mieście jak osły. Mam w domu kawał pysznej polędwicy i coś do wypicia.”

– Niezwłocznie po północy przystąpimy do noworocznego rozdawania upominków. Koleżanko, zechciejcie ustawić ten akt od strony organizacyjnej.

– Przez towarzyszy z wyższego, szczebla często publicznie byłem krytykowany niesłusznie za niedopilnowanie obory. Mówili, że się muzyki chce leniowi. Wieczorki zaczęły być coraz to bardziej monotonne. Byłem już wyczerpany.

– Przyprawiam ją do domu i mówię: „Kochana, znamy się stosunkowo niedawno i nie chciałbym, żebyś mi wycofała z mieszkania jakieś precjoza.”

W sali głównej trwały eliminacje do konkursu na wykonanie tańca la-ba-da. Wyloniono już cztery pary finałowe. Potem nastąpiła dekoracja zwycięzców. Pod sufitem wirował sputnik błyskając teraz światłem żółto-niebieskim. Przez wywiercone w suficie otwory sypało się miarowo confetti. Anna przytuliła się do mnie w tańcu, zapytała, dlaczego jestem smutny, potem roześmiała się szepcząc, że bym nie był głupi i że chyba nie jestem zazdrosny. Odpowiedziałem, że raczej nie jestem, ale że może by wróciła do Tomasza, któremu może być przykro. Przytuliła się do mnie jeszcze mocniej i pokręciła przecząco głową, bo przecież Tomasz mnie bardzo lubi.

Tomasz chyba lubił mnie rzeczywiście, a w każdym razie, kiedy spotykaliśmy się w mieszkaniu Anny, zachowywał się serdecznie i wyrozumiale. Właśnie się rozwodził i miał się żenić z Anną. Powstał między nami rodzaj porozumienia: ten, który zjawiał się pierwszy, wychodził w parę minut po wejściu drugiego. Oczywiście, zdarzały się sytuacje, kiedy to się nie sprawdzało, na przykład przychodziłem tuż po nim albo on w parę minut po mnie, jednak i wtedy przestrzegaliśmy tej zasady.

Kubula pojawił się u Anny po dziesięciu chyba dniach. Kiedy przyszedłem wieczorem, kręcił się po mieszkaniu, potężny, opalony, z twarzą rozjaśnioną nieustającą radością życia i wielkim z siebie zadowoleniem. Krążył w białej koszuli z zawiniętymi rękawami i pokazując białe zęby przygotowywał kolację. – Już Kubula zaparzył herbatę i Kubula chleb pokroił – oświadczył po uściśnięciu mi dłoni. – Miły jest Kubula, prawda? – Musiałem przyznać, że jednak było coś rozbijającego w jego idiotycznym zadowoleniu z siebie. – To mój przyjaciel z Katowic – przedstawiła go Anna. – Bardzo miły. Dziewczyny w Katowicach za nim szaleją. – I wyczuwając moje zakłopotanie, pogłaskała mnie po twarzy. Pomyślałem wtedy z przykrością o Tomaszu, który przecież zaraz miał nadejść. Kubula rozłożył tymczasem obrus, a Anna włączyła telewizor. Zauważyłem, że denerwuję się z powodu Tomasza, pomyślałem, że go polubiłem, poczułem się żałośnie śmieszny, chociaż przez chwilę starałem się wydobyć z tej sytuacji jakieś momenty dramatyczne. Żałowałem, że nie ma Ewy, że bym mógł jej to opowiedzieć, wykrzyzczyć swój upadek, chociaż Ewa oznajmiła ostatnio, że nie zgadza się na żadne oczyszczanie się przy niej, że to będę musiał załatwiać sam. Potem rzeczywiście przyszedł Tomasz, rozejrzał się niepewnie, ale Kubula posadził go zaraz przy stole, Anna pocałowała i zdjęła płaszcz. Tomasz usiadł, podał mi rękę ze smutnym uśmiechem.

– Może cukru? – Kubula już sam sobie osłodził. – Mizerny jesteś, Tomku. – Kubula jeszcze zje. – Co u pana słychać? – Może wino otworzyć? – Kubula otworzy. – Usiłowałem wmówić w siebie, że upaja mnie płaskość tej sytuacji, jednocześnie zastanawiałem się nad zakończeniem. Ja przecież wyjdę, ale czy Kubula przyjmie reguły gry, które się zresztą niesłychanie skomplikują? – No to będę leciał – podniosłem się. Tomasz pokiwał smutnie głową. Anna uśmiechnęła się, a Kubula powiedział, że ma do mnie dwa słowa. – Bo widzi pan – przystanął w drzwiach – ja tu przyjechałem na dziesięć dni urlopu, żeby się zabawić. Anna to, wie pan, stara historia. A pan musi mieć jakieś kontakty, pan wygląda na fajnego chłopaka, Kubula zna się na ludziach. Ja bym się odwdzieczył w Katowicach. A ten, co przyszedł, to jej narzeczony. Swoją drogą, co ona w nim widzi? Zdechłaczek. Mam wyjść za pół godziny. – Odpowiedziałem, że oczywiście bardzo chętnie, że się skontaktujemy, i wyszedłem na korytarz. Kubula zamknął drzwi, a ja oparłem się o ścianę i wyprowadziłem z wściekłością parę ciosów, po czym utwierdziłem się w przekonaniu, że postąpiłem słusznie, bo i tak nie dałbym rady Kubuli.

– Do tego budowałem domek murowany, wprawdzie mały, o powierzchni trzydzieści dwa metry kwadratowe, jedna izba, jeden pokój. Na dobre załamałem się, jak na działce przyzagrodowej zaprowadziłem fermę drobiu i zaatakowany zostałem przez towarzyszy z wyższego szczebla, że robię się kapitalistą. Prezesowi z geesu zapowiedziano, że pod karą nie wolno ode mnie kupić jaj ani sprzedać pasz treściwych. Kurczęta trzeba było zlikwidować.

– Następnie wprowadziłem ją do pokoju egzekucyjnego i mówię, że dla mnie ten wieczór jest bez penuty.

– Bezpartyjni i partyjni mogli mieć dwie krowy, trzy świnie i tak dalej, a mnie zrobili kapitalistą.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la-ba-da, la-ba-da, bęc!

Znów zatrzymał mnie tamten kolega. Na szyi bujał mu się papierowy medal za drugie miejsce w konkursie la-ba-da. Plecy przysypane miał confetti. – Wpadnij koniecznie po dwunastej! To jest moja... narzeczona – zaprezentował ją Annie. Aha, pytała o ciebie Blanka. Powinieneś z nią zatańczyć, świetna dziewczyna.

– Więc, uważasz pan, ten nauczyciel emeryt miał służącą i żonę i z tą służącą miał córkę. Następnie wybuchła wojna...

– W tym czasie na wsi zrobiono zabawę. Zespół orkiestralny prosił mnie, abym wziął udział na akordeonie. Chętnie parę złotych zarobię pomyślałem, i tak się stało, że na zabawę ekstratowarzysze z wyższego szczebla zaplątali się pijani. Jeden kopnął do mojego akordeonu. Ja, do ostatniego zrujnowany nerwowo, zabrałem akordeon do domu.

– Następnie, po wojnie, jak zaginęła żona i służąca, on się ożenił z córką...

– A papiery?

– Wojna była, panie, zafałszował.

– Po kilku dniach ogłosiłem sprzedaż akordeonu. Sprzedałem za siedem tysięcy, a mogło być dziewięć, niestety, był zepsuty. Sprzedałem aparat foto i radio, bo jak bez kultury, to bez kultury. Tak zostałem zepchany na samo dno.

– Następnie on z tą córką miał trzy dalsze córki i tak się, uważasz pan, urządził, że z dwiema starszymi już po trzynastce również normalnie prowadził życie.

– Dlaczego pan jest sam? – uśmiechnęła się Blanka.

Wyjaśniłem, że nie jestem sam, tylko z Anną, Tomaszem i Kubułą.

– Ale bez dziewczyny.

Powiedziałem, że tak jakoś wyszło.

– Chciałam z panem zatańczyć od razu, kiedy pana zobaczyłam. Jest pan zaskoczony? Niech pan powie tylko: tak czy nie?

Powiedziałem, że tak, że jestem zaskoczony.

– No to tańczmy. Widzi pan, pana to dziwi, a to naturalne. Ja po prostu do wszystkiego doszłam sama. Mieszkałam w czasie okupacji w Warszawie niedaleko muru, za którym było getto. Jeszcze dziś, jak tam idę, chce mi się płakać. Tam są takie stare bramy... Potem byłam w Domu Dziecka – nie lubiano mnie, byłam ambitna, wszystko musiałam zdobywać sama. Dlatego mogę tańczyć, z kim chcę.

Powiedziałem, że ją rozumiem.

– Czy słyszał pan moją ostatnią piosenkę?

Odparłem, że nie, ale podobno jest udana.

– Jest fatalna, niech pan nie wierzy. Robią ze mnie kogo innego. Napijmy się.

– Dobrze.

Wypiliśmy przy barze.

– Niech pan słucha – mówiła dalej – teraz odejdę od pana, ot tak, po prostu. Stać mnie na to. Zaskoczy to pana? Tak czy nie?

– Tak – oświadczyłem – bardzo.

– No właśnie. Ale może wrócę.

– Tak?

– Tak, może. Teraz odejdę.

Sputnik zawirował po raz ostatni, zatrzymał się i zgasł.

– Uwaga, zbliża się godzina dwudziesta czwarta, czyli równa północ. Zapraszamy w stronę okien w celu obserwowania fajerwerków wykonanych przez wytwórnię „Fajerwerk”, od niemieckiego *Feuer* – ogień.

Zaczął się ruch w stronę okien, potem na niebie rozsypały się czerwono-niebieskie gwiazdy. Równocześnie zegar zaczął wybijać północ. Strzeliły korki od szampana, zgasło światło, orkiestra wykonała efektowny tusz. Z daleka pomachali do mnie Tomasz i Anna. Przeciskali się w moją stronę przez zbity tłum.

– Pertambolo – mój dawny kolega ucałował mnie trzykrotnie. Potem ścisnął się z jego narzeczoną. – Ożenił się z nią – powiedział. – Jej ojciec ma warsztat, przejdzie się tylko po Chmielnej, i już ma piętnaście tysięcy. Trochę z nim współpracuję. A ty co?

– Tak jakoś. Skończyłem studia, coś kombinuję.

– No to w porządku. Grasz?

– W co?

– No, czy grasz w pertambolo? Na pewno grasz, musisz grać. Twój stary przegrał w pertambolo i ja przegrałem w pertambolo. Może nie wiesz, ale grasz. No, to wypijmy. Wypijmy za to, co było, za dawne czasy; no i za to, co teraz. Ujął mnie silnie pod ramię, byk już chyba mocno pijany, czerwoną, szeroką twarz pokryły mu kropelki potu. Odprowadził mnie na bok. Chodź, pogadamy – mruczał przepychając się przez kotłujący się tłum ludzi, wymieniających życzenia, okrywających się pocałunkami. – To jest poker, rozumiesz, poker! – Odciągnął mnie pod błękitno-srebrzystą ścianę, pięknie odbijającą połyski znów zapalonych lampy-sputnika. Za nami przeciskała się narzeczoną. – Licytujesz, rozumiesz, zostajesz na końcu z jednym facetem, cała reszta odpada, a ty masz najwyższego pokera. Wykładacie karty i on nie ma nic, jedną parę czy coś. Więc myślisz, że wygrasz, ale wtedy on mówi: pertambolo. Rozumiesz?

– Jakie pertambolo? – wtrąciła się narzeczona. – Jakie pertambolo?

– Czekaj, Inga. Otóż, rozumiesz, on ma spluwę i dlatego wygrywa pertambolo, a nie poker, rozumiesz mnie? Tak jest, stary, tak jest.

– Upiłeś się – powiedziała narzeczona.

– Czekaj, czekaj. Ty przegrywasz, ale ciągniesz grę dalej i teraz, uważasz, ty masz pertambolo, ale nie wygrywasz, bo pertambolo jest już nieważne, skończone, tylko znowu poker. Tak jest, stary, to jest hazard kontrolowany. Pozdrów ojca – machnął ręką.

– Chodź już, posiedź trochę – narzeczona Inga uśmiechnęła się do mnie. – Zawsze, jak się upije, to tak gada. Chodź.

– Dobra. W porządku. Ożenię się z nią. No, na razie. Twój ojciec na tym wyorłował, na pertambolo. Pokręciłem przecząco głową.

– Jak to nie?

– Nie na tym.

– Ty wiesz, kto to! był twój stary?

– Wiem.

– No i klawo. Był wspaniały facet. Ty nie myśl, że ty nie grasz. Wszyscy grają. Ale twój stary grał w to namiętnie i dlatego dał takiego dubla. – Poprawił medal za drugie miejsce w la-ba-da i wycofał się, pociągnięty przez narzeczoną.

– Wznawiamy obecnie zabawę – rozpoczął wodzirej. – Wznowimy ją tańcem la-ba-da. Pożegnaliśmy wszyscy rok stary z uczuciem żalu, gdyż przeżyliśmy w nim wiele intensywnych chwil z naszego życia. Prosimy orkiestrę! Tak więc – z Nowy Rokiem nowym krokiem!

– Najlepsza spółdzielnia w całym powiecie rozwiązała się. Bronić jej byłem bez sił. Po załamaniu się duchowo załamany zostałem fizycznie. Po zbadaniu mnie przez lekarza chwycił się za głowę. W pięćdziesiątym szóstym roku towarzysze pochowali głowy w piasek, a do mnie wszystkie pretensje wsi i spółdzielców. Stałem oficjalnie i publicznie na zebraniach. Od czterdziestego ósmego dopiero teraz zakupiłem garnitur. Tak wyglądało moje życie, dlatego że głowę położyłbym za rzeczywistość, która zaistniała. Obecnie pracuję za tysiąc osiemset złotych w Miejskim Przedsiębiorstwie Gospodarki Komunalnej. Nie chcę się szczycić swymi zdolnościami, które przepadły.

Tamten kolega widocznie doszedł już do siebie, bo wyginał się z narzeczoną, znowu uśmiechnięty, w la-ba-da.

Nie, ojciec z całą pewnością w nic nie grał, nie tak jak tamten, który teraz ma koncepcję Golgoty i z patetyczną rezygnacją przejmując wychowaną córkę z dodatkiem warsztatu. W nic nie grał chyba do końca, i wtedy, kiedy chodził po domu ciężkim krokiem czekając na przyjazd samochodu, i przedtem, kiedy zobaczyłem go po raz pierwszy w mundurze zwycięskiej armii i kiedy z płaczem uczepliłem się jego szerokiej, dużej ręki, a świat wrócił od razu do normy, bo wiedziałem, że to już koniec krzywd moich i matki. On chyba też bardzo się wzruszył, tak w każdym razie opowiadała później matka, bo mu byłem potrzebny ze swoim zaufaniem bezgranicznym, pragnieniem słuchania go i przestrzegania zasad i praw, które teraz miały stać się obowiązujące w moim życiu. Tak samo chodził po pokoju w parę lat później, tłumacząc mi życie, porządkując sprawy. Wtedy pił więcej, o czym też powiedziała mi matka, zresztą uważałem, że wiedział, co robi. Matka zawsze była z boku. Kiedyś próbowała mnie odzyskać opowiadając o kochance ojca. To była prawda, ale ojciec zaprzeczył – i matka poniosła ostateczną klęskę.

– I rozumiesz, żonę tego konsula szwedzkiego złapali za ręce, zaciągnęli na bok i zerznęli.

– Śmieją się z Hitlera, że malarz, że wąsy ma, a on chciał mądrze...

– Bo to trzeba robić tak: jak przychodzisz na zabawę albo gdzieś do lokalu, to wybierasz sobie najbrzydszą na sali, patrzysz na nią i pijesz, pijesz i patrzysz...

– My we dwójkę moglibyśmy uratować ten film...

– A on chciał, żeby Niemcy leżeli sobie na hamaczkach, a Słowianie żeby im winko przynosili...

– Ratowanie tego filmu nie ma sensu...

– Ty wiesz dobrze, że miałyby sens.

– Ale jestem w nim za biały.

– Wypijesz znowu i znów na nią patrzysz, i jest w porządku.

– Wcale nie jesteś za biały.

– A kiedy wypijesz, spojrzysz na nią i stwierdzisz, że byś się z nią położył, to znaczy, że jesteś już pijany i musisz iść do domu.

– Czy występowałeś kiedyś nago na wernisażu?

– Jednak z całą pewnością jestem za biały.

– Ja występowałem cały pomalowany na złoto, poza kutasem, żeby się kutas nie uduślił.

– Nie zazdroszczę ludziom, którzy zdobyli wysokie kwalifikacje i którzy pod dostatkiem żyją sobie, ale w oderwaniu od ideologii marksistowsko-leninowskiej. Nauka ta przyszła im za darmo i uważam, że nie będą się

tym panoszyć i nadęci chodzić jak burzuje. Rozczarowany jestem, że padłem ofiarą trudności. Bardzo wyczuwam poniżenie, dlatego że tak byłem spychany na samo dno. Nie mogę nabrać entuzjazmu, który umarł we mnie. Pod tym względem będę miał trudności dalej. Jestem na dnie, zmarnowany i niewinny – wychrypiał koło mnie, ciągle patrząc trochę obok. Potem przerwał, jakby czekając na odpowiedź. Stał spokojnie pod niebem srebrno-błękitnym i czekał na coś, co jego zdaniem powinienem odpowiedzieć czy wyjaśnić. Przepchnąłem się na próbę parę metrów w lewo i on, niemal automatycznie reagując, ruszył za mną. Oczywiście czuje się ofiarą, nie ma wyrzutów sumienia, jest tylko krzywda, jego krzywda. Wszyscy pokrzywdzeni, ja też skrzywdzony przez siebie, przez Ewę, przez wszystkich. Tylko co mu pomożę? Gdzie mam z nim iść? Postawić mu wódkę?

Zresztą może to w ogóle jakiś psychopata? Na pewno psychopata, który wymyślił sobie jakąś historię. Każdy może wymyślić taką historię, o to jest u nas bardzo łatwo.

– Zjawiłam się. Przyzna pan, że niespodziewanie. Tak po prostu przyszłam. I teraz zapraszam pana znowu do tańca. Tak sobie normalnie. Mnie na to stać.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la -ba-da, la-ba-da, bęc...

Ale mógłbym napisać o tym do gazety. Proponował mi współpracę pewien miesięcznik lśniący kolorami złoto-czerwono-niebieskimi, pokazujący Polskę przasną i uroczystą, eksportowo uśmiechniętą.

– Tańczymy la-ba-da...

Kiedyś ojciec wypił dużo i opowiedział historię zlikwidowania leśnej bandy. Opowiedział ją, jak zawsze chodząc po pokoju, a za nim krążył pies. Ojciec przywiózł go z kolejnej wyprawy, kundel właściwie bardziej podobny do lisa. Pies chodził za nim czujnym, skradającym się krokiem, na nas nie zwracał uwagi, natomiast z ojcem rozumieli się świetnie. Ojciec rozpoczął od tego, jak trudno teraz mieć do kogoś zaufanie, bo o ludziach za mało się wie, nie można ich poznać. I opowiadał dalej, jak złapali zastępcę dowódcy bandy i musieli dowiedzieć się natychmiast, gdzie jest dowódca, bo mieli informacje, że szykuje nowy napad. Ale ten zastępca nie chciał mówić. – Wyjaśniłem mu, że musi powiedzieć, i on mnie zrozumiał, ale milczał. Wtedy musieliśmy go zmuszać, długo musieliśmy go zmuszać, bo od tego zależało życie innych. On nie powiedział nic, ale ja dowiedziałem się wtedy o nim bardzo wiele, patrząc, jak powoli umiera, i on też patrzył na mnie, czułem, że wie o mnie dużo. To była sprawa między nami. – Ojciec zamyślił się, stanął. – Wiedziałem od początku, że nic nie powie, ale dowiedziałem się od niego, jak się umiera. – Dolał sobie wódki, trochę chwiejnie ruszył znów przez pokój. – Kiedy się rozstawaliśmy, wiedziliśmy chyba o sobie wszystko.

Blanka przytuliła się do mnie mocno w tańcu. Z boku pomachał mi tamten kolega. Gdzieś zgubił medal.

– Byłam piekielnie ambitna i dlatego wyplętałam, tylko dlatego że byłam taka silna. Wszystkich miałam przeciwko sobie... Ktoś mi dobrze o panu mówił.

– Kto?

– Nie pamiętam. Zatrzymałam się tu w hotelu.

– Aha.

– Dziwny pan jest, taki powykręcany jak ja, ale też czuję w panu jakąś siłę. Podobam się panu? Powiedz tylko: tak czy nie?

Ta historia z psem rozegrała się w jakiś czas później. On rozrósł się, zżółkł jeszcze bardziej i prawie nie rozstawał się z ojcem. Czasem wychodził ze mną albo snuł się gdzieś z tyłu, jakby obserwując mnie. Wtedy rzeka była zamrznięta prawie zupełnie. Szedłem po lodzie, wyczuwając za sobą jego obecność. Kiedy wracałem, lód zaczął trzeszczeć, potem pękać. Zapadłem się jedną nogą, ale zdążyłem wyskoczyć na brzeg. Za mną z trzaskiem pękała kora. Odwróciłem się i zobaczyłem go – siedział na sporej bryle lodu, między nim a brzegiem było ze cztery metry wody. Prąd wolno poruszał krą i lada moment mógł wynieść ją na środek nurtu. Zdziwiłem się, że nie zdążył, że został. Patrzyliśmy na siebie, poczułem suchość w gardle, a on przyglądał mi się spokojnie, uważnie, rozplaszczony na tej krze, nie dając żadnego znaku, nie zdradzając żadnego niepokoju, i dopiero później zrozumiałem, że po prostu czekał, ale już wtedy wszystko wiedział. Niedaleko mnie leżała gruba gałąź – mogłem przyciągnąć krę do brzegu. Cofnąłem się po gałąź nie spuszczać go z oczu, a on wtedy przesunął się na sam koniec kry i odsłonił zęby. Zrozumiałem nagle, że boi się mnie, nie liczy na pomoc, tylko mnie o coś podejrzewa. Zamachnąłem się gałęzią i zacząłem kruszyć krę obok, potem chyba starałem się go trafić, ale nie mogłem już dosięgnąć, więc waliłem wściekle gałęzią, krzycząc, że to jego wina, że celowo tam został, żeby pokazać, ile wie o mnie, a on obserwował mnie ciągle, już nie warcząc, spokojnie, nawet wtedy, kiedy kora wypływała na środek. Naraz zrobiło mi się słabo, usiadłem na brzegu, potem położyłem się jedząc śnieg i chyba na chwilę straciłem przytomność. Pies wrócił do domu w jakiś czas po mnie. Na mój widok nie zawarczał, nie dał żadnego sygnału, że między nami coś się rozegrało zniknął w pokoju ojca.

– Powiedz: tak czy nie?

– Tak.

– W porządku. Lubię jasne sytuacje. Chociaż nie tańczysz najlepiej la-ba-da.

– Nie.

– Próbuje, bardziej kołysząc się w biodrach, ograniczyć ruchy nóg. Ręce wyrzucić na boki. Tak, teraz lepiej.

Taka scena jak ta, która wydarzyła się na cmentarzu, kiedy ojciec idąc na spotkanie delegacji potknął się i zniknął w jakimś dole czy grobie, musiała się wydarzyć prędzej czy później. Wygrzebał się na czworakach, próbował wstać, zatoczył się znowu i chociaż spiker radiowy próbował ratować sytuację opowiadając, że ojciec klęka w celu rytualnego oddania czci, nie mogło to wiele pomóc. Było to jeszcze przed końcem tamtego okresu. Ojciec w nic nie grał i nawet nie miał świadomości, że później nim grano. Trochę wcześniej wyrażono mu uznanie za operatywność, a ja już wtedy wiedziałem, co to znaczyło. Po tej historii na cmentarzu ojca przeniesiono na emeryturę – to było właśnie niedługo przed końcem tamtego okresu, więc pijaństwo ojca niektórzy potraktowali z sympatią. Najgorsze jednak, że jego dawni współtowarzysze uwierzyli w te pogłoski idiotyczne, że on się rozpił, bo zrozumiał, nabrali do niego niechęci i odsunęli się. On nie wiedział, o co chodzi. Krążył między nimi od mieszkania do mieszkania, przysięgał, że się nic nie zmienił, że jest taki sam, jak był, że się po prostu nad tym grobem pośliznął. Ale już mu nie wierzyli. A znowu ci nowi stwierdzili, że za późno zrozumiał, poza tym pijak, człowiek skończony. Zresztą dostał wysoką emeryturę – bo order. Powtarne małżeństwo matki przyjęto jako jednoznaczny gest potępienia męża, o którym dowiedziała się wszystkiego.

Tańczyliśmy z boku sali, z góry sypało się jeszcze ciągle confetti, sputnik wirował już tylko na biało. Dookoła tańczono trochę wolniej, w naszą stronę przepychał się Kubula.

– Może chodźmy stąd – powiedziałem gdzieś na bok, może napijemy się czegoś...

– Rozumiem cię – powiedziała Blanka. – Chodźmy. To mi się w tobie podoba.

Przeszliśmy przez bar. Hotel był po drugiej stronie, za parkingiem.

– Nie warto się ubierać – powiedziała Blanka. – Przebiegniemy.

Na dworze chwycił nas na moment ostry mróz, potem weszliśmy do hotelu. Blanka miała pokój na pierwszym piętrze, z widokiem na jezioro, teraz zresztą niewidoczne.

– Spodobałeś mi się od pierwszej chwili powiedziała siadając na tapczanie. Uważnie zsuwała przez głowę balową suknię, starannie powiesiła ją na wieszaku. – Tu masz wieszak dla siebie. – Rzuciła go w moją stronę. – Fatalnie grzeją. – Wsunęła się do łóżka, szczerle otulając kołdrą. – Przypomina mi się od razu Dom Dziecka. Połóż się raczej od ściany. Kontakt jest na lewo.

Przekreśliłem kontakt, położyłem się obok niej i wszystko narzuciła już ona. Wykonywałem więc tylko ruchy, czując na sobie jej uważne spojrzenie, wtedy też zacząłem patrzeć na nią, a ona przymknęła oczy poruszając się wprawnie. Spoglądałem teraz ponad nią w stronę zasłoniętego okna i pomyślałem, że tamten człowiek mógł mówić prawdę, i naraz wyobraziłem sobie tę scenę ostro, wyraźnie. Zobaczyłem otwarte szeroko okno i po chwili usłyszałem z dołu na asfaltowym podjeździe histeryczny krzyk, później dołączyły się inne głosy, biegłem więc korytarzem, za mną dudniły jakieś kroki, przepychałem się przez stłoczoną grupę ludzi, rozstępujących się powoli, niechętnie, a on leżał tam z rozrzuconymi szeroko rękami, twarzy nie mogłem zobaczyć w pierwszej chwili, bo zasłaniał ją klęczący lekarz, ale przecież od razu dostrzec musiałem te za duże, sine teraz dłonie z zeszywniałymi, zagiętymi palcami wyciągnięte ku mnie, a za chwilę, kiedy lekarz już wstał, patrząc na mnie nieruchome oczy; lekarz coś mówił, usłyszałem tylko „nie żyje”, potem powtórzył to jeszcze raz i spytał, czy ktoś go zna, nie odzywałem się, bo to już nie miało żadnego znaczenia, kierownik hotelu martwił się, że ta właśnie u niego się stało i w Nowy Rok, ktoś z boku dodał, że to musiało być z pijaństwa, dwaj sanitariusze umieścili ciało na noszach i przebijali się przez niechętny tłum, a ja zacząłem się oskarżać: przecież mogłeś mu pomóc, gdybyś się wtrącił w jego życie, chociaż z nim porozmawiał, może by nie doszło do tego, tak, byłeś obrzydliwie nieufny, to jego krążenie za tobą mogła być właśnie wołaniem o pomoc ostatnim, więc może to by się nie stało, to by się nie stało, gdybyś wypytał, poradził, miałeś możliwość uratowania go, sposobność uratowania życia nareszcie prawdziwą i przepuściłeś ją, jesteś teraz wciągnięty w tę śmierć, osaczony przez nią i wiesz, że już jest za późno, żeby coś odrobić, żeby uratować jego i siebie, odnaleźć prawdę o krzywdzie, która dosięgła tego człowieka właśnie dzisiaj, na noworocznym balu.

Usłyszałem ostry krzyk Blanki. Krzyczała coraz głośniejsze. Poczułem coś w rodzaju satysfakcji. Oto odsłoniła się wreszcie zupełnie, zmusiłem ją do tego. Zrozumiałem, że jest mi jakoś bliższa, że coś między nami zostało usunięte. Nagle spytała bardzo spokojnie: – A ty, kochanie, czemu nie krzyczysz? – I znów zaczęła krzyczeć, patrząc wyczekująco, więc ja też krzyknąłem na próbę, potem jeszcze raz i krzyczeliśmy oboje bardzo głośno jeszcze dość długo.

– Było ci kiedyś tak cudownie? Odpowiedz: tak czy nie?

Odpowiedziałem, że nie, a ona z aprobatą kiwnęła głową.

– Musimy wstawać. Nie znoszę plotek. Chodźmy, podaj mi suknię. Musimy się jeszcze kiedyś zobaczyć. Zrobiło się późno.

Szedłem przy niej analizując jeszcze przez chwilę wszystko, co odczułbym, gdyby tamta scena wydarzyła się rzeczywiście, gdyby tamten człowiek się zabił. Szedłem smakując ową porażkę ostateczną, której świadomość towarzyszyłaby mi na zawsze, z której nie mógłbym już się wyzwolić, i wywoływałem w sobie uczucie ulgi, doznanie niemal prawdziwego odprężenia, że to się nie stało.

Blanka postanowiła, że wejdę w chwilę po niej, aby uniknąć podejrzeń. – Po co ludzie mają wiedzieć, są zawistni, chcą wykończyć każdego, kto się wybił, a wiesz, ile mnie kosztowała ta droga z Domu Dziecka tutaj, wyzwolenie się od tego muru i innych wspomnień.

– Tańczymy la-ba-da, la-ba-da, la-ba-da, tańczymy la-ba-da, la-ba-da, bęc!

– A kiedy ten konsul szwedzki rzucił się, żeby żonę bronić, to ci Turcy jego też zerznąli.

Żeglował w moją stronę Kubula. – Zawieruszyłeś się, szukałem cię, mam coś ciekawego.

– Halo – powiedziała Anna – gdzie się podziewasz?

– Cześć, cześć – uśmiechnął się z boku tamten kolega.

Na dworze zrobiło się już szaro, przez zasłonięte błękitną bibulką okna przeciskało się trochę światła. Teraz już na pewno widać było jezioro. Wszyscy naokoło odczuwali wyczerpanie radością, tańczyli anemicznie, nawet wodzirej trochę przygasł. Rozglądałem się szukając tamtego człowieka. Stał oparty o postrzępioną, srebrno-błękitną planszę nieba i patrzył na mnie. Zastanowiłem się, czy czekał, czy szukał mnie, i wydał mi się naraz bardzo bliski. Oczywiście nie mógł wiedzieć, ile mnie z nim teraz łączy, ile wspólnie przeszliśmy. Przez chwilę chciałam nawet do niego podejść, odkryć przed nim swoją wrażliwość, ofiarować mu rzeczywiście jakąś pomoc, zapytać chociaż, czego ode mnie oczekiwał. I kiedy tak patrzyliśmy na siebie, nie wydawało mi się to pozbawione sensu. Potem szarpnął mnie za ramię Kubula. – No więc zobacz, że mam coś ciekawego. – Popchnął młodą, wydekoltowaną dziewczynę. – Mariolka, to jest Mariolka. Zakochała się w Kubuli, będziemy się z nią kochać.

Mariolka kiwnęła potakująco głową, zatoczyła się lekko i wsparła na Kubuli. Kubula spojrział na zegarek. – No to będziemy szli. Jutro muszę wpaść do mojego starego na grób, wypada go odwiedzić, no nie? Pewne formy obowiązują. Znowu tracił mnie porozumiewawczo w ramię.

Biłem go po głowie zaciśniętymi pięściami, był silniejszy, ale dał się zaskoczyć, z tyłu łapał mnie za rękę tamten kolega, bełkotał: „ty łobuzie, ty łobuzie” – wykręcając mi je boleśnie – „wiedziałem, że to kiedyś z ciebie wyjdzie!”, kopnąłem go w kolano, rozluźnił chwyt, wyrwałem się i złapałem krzesło, dookoła zrobiło się pusto, uderzyłem w zasłonięte okno rozrywając błękitno-srebrzyste niebo, posypało się stłuczone szkło, a ja zachłystywałem się głęboko świeżym, mroźnym powietrzem i krzychałem: „wy dranie, chodźcie tu, no chodźcie!”, potem z boku błysnęła znów spocona twarz tamtego kolegi, rzuciłem się w jego stronę, ktoś mnie podciął, upadłem na parkiet, wtedy rzucili się na mnie wszyscy, próbowałem się wyrwać, ale nie miałem już sił, nad sobą widziałem rozkwieczone, poczerwieniałe twarze...

Coraz wolniej unosiły się wyrzucane w la-ba-da ręce, biodra tańczących zataczały mniejsze kręgi, ale nadal kołysali się miarowo. Między parami na parkiecie staniał się brat narzeczonej tamtego kolegi, Stasio, chichocząc wykrzykiwał: – Nowy taniec gli-gli! – i łaskotał tańczących, próbując ożywić ich i rozśmieszyć. Oni opuszczali uniesione w górę ręce opędzając się przed nim leniwie. Gli-gli-gli – próbował dalej Stasio. Potem bełkot jego uciął gdzieś w drugim końcu sali.

– Bo w końcu wypada starego odwiedzić. To jak, Mariolka, idziesz ze mną? – ziewnął Kubula. – A wy zostajecie jeszcze, co?

Rozluźniłem zaciśnięte pięści, oparłem się o ścianę i wzruszyłem ramionami.

– Cholerny świat! – zakołysał się tamten kolega, wspierając się na narzeczonej. – To jest wszystko pech, paskudny pech, pech w pertambolo. – Chodź! – pociągnął mnie na bok. – Ty wiesz, jak ja się męczę? Zrozum mnie. Ty myślisz, że co? Że mnie to moje życie teraz odpowiada? Że mi to wszystko odpowiada? Ty – zastanowił się – pamiętasz? Zanucił coś, zakrzuszył się i zaczął jeszcze raz. – No, co, pamiętasz?

Praca w hucie będzie się paliła

Jak miliony rozpalonych serc, hej?

Oczywiście, że pamiętałem tę piosenkę o chłopakach z błękitnymi oczami i jasnymi włosami, którym śniła się po nocach stal.

Teraz przysunął się do nas Kubula, także zaczął nucić, potem śpiewać:

Zakochają się w hutniczych nocach,

Pokochają raz na zawsze stal.

Potem dołączył się jeszcze ktoś i jeszcze ktoś, orkiestra przycichła, urwała la-ba-da i zaczęła nam wtórować.

Tamten człowiek zniknął już spod błękitno-srebrzystego nieba – rozejrzałem się, ale nigdzie nie było go widać.

Więc kolego, już od dzisiaj

Cegłą buduj każdy nowy dzień.

– Pamiętasz, stary, pamiętasz? – trącił mnie tamten kolega. – „Ty w lipcowe noce nam się śnisz.” Coś wtedy wiedzieliśmy jednak, o coś chodziło. Różnie bywało, no, ale maszerowaliśmy.

– Pewnie, równo, w nogę... Aż tu wypadło ci złe rozdanie w tę twoją grę. Czujniej trzeba było, jeszcze czujniej.

– Stary, gra grą, ale żal, cholera... To były czasy. W to można było wierzyć.

– Chcesz w coś wierzyć, nie?

– Każdy chce. Ty nie chcesz? Każdy chce. Nie w tę forsę tylko... Pokaż teraz piosenkę, co by ją tak wszyscy razem, z orkiestrą..

Wokół nas śpiewało już kilkadziesiąt osób. Wśród nich zobaczyłem Annę, Tomasza i wielu innych. Wyszedłem z sali. Za sobą słyszałem śpiew.

Ktoś na korytarzu krzyknął histerycznie, potem dołączyły się nowe podniecone głosy. Przepychałem się przez tłoczoną grupę ludzi, rozstępujących się powoli, niechętnie.

KUSZENIE CZESŁAWA PAŁKA

Po opuszczeniu zakładu powracałem do domu, dzień w pracy zakończył się powodzeniem, na naszym dziale była komisja, usterkowali cały dzień i nic nie zausterkowali. Dostyc to nam osłabiło ciągłość pracy nad skrzynią biegów kombajnu, którą przedstawialiśmy na pasy skórzane importowane. Ale i tak dobiegaliśmy już do opanowania tej technicznej nowości. Po obiedzie szedłem spacerem do swojego mieszkania przez całe centrum, a czasu miałem dostyc w rezultacie wolnego dziś od zajęć popołudnia na Wyższej Szkole Inżynierskiej. Szedłem, w czym mam pewną przyjemność, okrążyłem dwa razy PDT patrząc na ludzi biegnących na wszystkie strony, zastanawiałem się, dokąd tak biegają. Zaszedłem do sklepu „Delikatesy”, wypełnionego całymi tłumami kupujących, i spokojnie stałem na boku, bo miałem już poczynione zakupy na kolację. Przez „Delikatesy” lubię chodzić, bo sprawia mi przyjemność zapach wydawany przez kawę, chociaż nie ukrywam rozczarowania co do jej smaku.

– *Do rzeczy. – To są prywatne gusta. – To niczego nie dotyczy.*

Jak zwykle podczas każdego stania w „Delikatesach” myślałem, co bym nabył, jakbym miał zapraszać kogoś, albo jedną osobę, albo kilka naraz. Patrzyłem na stoiska, z których wystawały herbaty w metalowych pudełkach, wystawały sery albo czekolady w opakowaniach różnokolorowych. Jak zawsze też zwróciłem oczy na butelki, chociaż nie mam zamiłowania do zajmowania się pićmi, co by odbierało mi siły i skupienie na studiach inżynierskich. Jednak pomimo tego patrzyłem na różne gwiazdki oraz na butelkę z wygiętą szyją, wstawioną do armaty reklamowej z ceną złotych czterysta, która budziła moje zdziwienie, a jednakże i zainteresowanie, bo z tym wiązały się moje wspomnienia wyniesione z filmów.

Zanim zobaczyłem inżyniera Romanka Artura, wydostała się nad głowy papierowa torba z uszami, z której widać było taką właśnie zagiętą szyję od butelki, a potem zobaczyłem całego inżyniera w odświeżonym garniturze, usztywnionej koszuli oraz krawacie w nowoczesny wzór. Inżynier przepychał się w moją stronę i na mój widok wyraził zadowolenie, jak przypuszczam, szczerze. Podał mi torbę ze słowami: – Kolego, bądźcie tak dobrzy przez moment – i zanim coś zdążyłem wypowiedzieć, zniknął znowu w tłumie, skąd po chwili wynurzyła się druga torba, za nią Romanek, a za nim uciepiona jego ręki kobieta.

I tak myślę, że to się zaczęło już właściwie wtedy, jakkolwiek nic mi do głowy nie przychodziło na temat tamtych spraw pomimo ogromnego wrażenia. Przepychałem się za inżynierem oraz kobietą, która była żoną inżyniera Romana, chociaż właściwie miała twarz jak dziecko, równie bladą, a usta półotwarte, co wyglądało jak wyraz zdziwienia. Kiedy wypchnęliśmy się ze sklepu „Delikatesy”, inżynier odebrał ode mnie torbę z butelką i przedstawił mnie żonie jako swojego najlepszego ucznia na WSI, a na razie technika z przyszłością, co było prawdą, ale sprawiło mi przyjemność. A żona inżyniera Romanka otworzyła usta i uśmiechnęła się mówiąc, że się cieszy. Następnie ja się pochyliłem, aby ją pocałować w rękę, i poczułem silny zapach albo wody kolońskiej, albo perfum. Zobaczyłem także paznokcie, które były długie i czerwone od lakieru. Następnie ona uzupełniła, że inżynier Romanek mówił jej o mnie, jak również o moich zdolnościach, za co znów odczułem dla inżyniera wdzięczność. Tymczasem Romanek zakręcił się nerwowo z torbą i widząc moje spojrzenie, które przyciągała tamta butelka, powiedział, że dzisiaj jest jego właśnie piąta rocznica ślubu i stąd poczynili te zakupy. Roześmiał się również, co wyglądało u niego ładnie, gdyż miał piękne białe zęby, co jeszcze zyskiwało przy czarnych gęstych włosach zaczesanych z falą do góry. Ja lubiłem inżyniera za uśmiech, a jego wykłady, na które skierowała mnie rada zakładowa, wydawały mi się najlepsze. Myślałem też, że jakbym mógł wybierać, to tak chciałbym wyglądać jak on, poruszać się jak sprężyna i mówić z energią, której trzeba było słuchać. Wtedy powiedziałem, że pięć lat to długo, i przyłączyłem się z gratulacjami, całując ponownie rękę pachnącą i poczerwieniałą na końcu od paznokci. Jednocześnie doszedł mnie cichy głos: – Żeby pan wiedział, jak to długo – więc dodałem, że na obecne czasy nietrwałości to tak, ale będę im na pewno życzył w dziesiątą rocznicę, a także i później. Na co uśmiechnęła się dość dziwnie, a równocześnie inżynier wtrącił, że właśnie udają się, aby obejrzeć wystawę „Śląsk w eksponatach”, na której umówiony jest z dyrektorem. Zastanowił się chwilę i zapytał, czy nie miałbym chęci zajrzeć z nimi na wystawę, na którą podrzuciliby mnie samochodem, tyle że po drodze odniósłby zakupy do domu.

– Co ty na to, Gosiu? – zapytał żony.

– *Pętla na własną szyję. – Taki człowiek. Nie wiedział, co robi. – Ładne odwdzięczenie. Naiwność nie popłaca. – Może to po prostu los. – Nie dają wiary od początku.*

– Co ty na to, Gosiu? – zwrócił się do żony, na co poruszyła ramionami, że oczywiście, jeśli miałbym chęć... Mówiła to patrząc na mnie, a miała oczy takie, jakie mają niektóre koty. Oświadczyłem, że nie jestem ubrany, bo tak też było, chociaż wygląd mój był przyzwoity, gdyż zawsze przywiązuję wagę do tego. Jednak inżynier był na czarno, a żona jego w sukni, która błyszczała i szeleściła, w szpilkach i pończochach srebrnych, a włosy koloru rudego, czyli takiego jak suknia, były pięknie ułożone, jakby przed chwilą wyszła od fryzjera. Tłumaczyłem dalej, że bez krawata, prosto z roboty... zwłaszcza, że ma być dyrektor, na co inżynier poklepał mnie mówiąc, że dyrektor nie zwraca na to uwagi, a na pewno będzie dla mnie korzystne, kiedy mnie dyrektor zobaczy, gdyż taka wystawa jest również formą nauki, tyle że nadobowiązkową. Tak więc mogę się z nimi zabrać tak normalnie, po prostu, bez krepacji. Na co, prawdę mówiąc, miałem od początku wielką chęć i wymawiałem się tylko dla przyzwoitości. Inżynier Romanek wręczył mi następnie obie torby i poszedł sprężyć się po samochód, wyrzucając ręce jak na ćwiczeniach gimnastycznych, a ja szłem z torbami, nie będąc przyzwyczajony do towarzystwa takich kobiet jak żona inżyniera ani w ogóle prawie do żadnych, oglądałem jej szpilki czarne ze szpicem, bojąc się podnieść głowę. Szpilki zrobione były z błyszczącej skóry, od góry nie miały prawie nic, tylko trzymały się na cienkich paskach i widać było w nich spod pończoch palce od nóg. I potem, kiedy przesunąłem oczy odrobinę wyżej, na nogę, zobaczyłem na niej trochę włosów w ciemnym kolorze. Obserwowałem je dłuższą chwilę, aż zrobiłem się czerwony na twarzy od długiego pochylania głowy. Noga potem znikła mi z oczu, a żona inżyniera powiedziała: – No to chodźmy, Artur już podjeżdża. – Potem zapytała o powód mojego zamyślenia, ile mam lat i nie uwierzyła, że czterdzieści, czyli dziesięć lat więcej od Artura, a siedem od niej. Mówiła jeszcze coś, czego już nie słyszałem, tylko szedłem koło niej między ludźmi, a ona stuknęła tymi szpilkami, we mnie zaś odbywała się bieganina myśli i uczuć, jakiej nie miałem od dawna albo raczej nigdy w życiu.

Tak odbywała się moja pierwsza droga do samochodu inżyniera Romanka Artura, który przyhamował przy krawężniku, ja zająłem siedzenie tylne obok paczek. Nie przypominam sobie dokładnie, ile czasu zajęła nam jazda. Koło nas przejeżdżały wprawdzie samochody, przemykali ludzie, jednak wydawało mi się, że to trwało niedużo sekund. Dookoła pachniało dziwnie i ładnie, na co składał się zapach rozsiewany przez jej kosmetyki oraz przez czarną imitację skóry na fotelach. Inżynier coś opowiadał, a samochód kołysał, jak w marzeniu, amortyzatorami. Romanek zatrzymał wóz i skoczył na górę, a jego żona włączyła radio z muzyką bigbeatową, puściła ją głośno i odchyliła się na siedzeniu do tyłu, potrząsając głową, z której sypały się włosy na różne strony. Następnie zwróciła się do mnie z pytaniem, czy właściwie ona z mężem nie odciągnęli mnie od innych zajęć, bo mogłem mieć przecież plany na wieczór choćby z kobietą, na co tylko pokręciłem głową patrząc na jej uśmiech, w czasie którego cała twarz nabierała wyrazu zdziwienia. Przeciągnęła jednym czerwonym palcem po wardze i złożyła ręce, jakby się modliła, kołysząc się nadal z muzyką. A ja szukałem jakiegoś słowa i na koniec powiedziałem, że przeciwnie, jest mi bardzo przyjemnie. Dodałem także, że jej mąż to najlepszy i lubiany wykładowca, a ja za rok i pół zrobię dyplom, w czym do tej pory przeszkadzała mi wojna, jednak pomagało państwo, a konkretnie rada zakładowa. Mówiłem to dla usprawiedliwienia, że mając czterdzieści lat jestem uczniem inżyniera. Zresztą ona znowu odwróciła się tyłem, kołysząc się ciągle zgodnie z muzyką, a ja naraz zupełnie niespodziewanie pochyliłem się do niej, wciągając mocno zapach wody, i mając teraz na kilkanaście centymetrów od siebie pasmo skóry bielutkiej i delikatnej myślałem, że to jest taka chwila, że gdybym mógł tak przedłużyć ją jak najbardziej, to można by umrzeć nawet, i po całym ciele rozlewało mi się ciepło i wzruszenie nad tą białą, dziecienną skórą, pachnącą jak w najlepszej drogerii.

– *Erotoman. – Należało opuścić samochód. – Żona przełożonego i nauczyciela. – Włos siwieje, dupa szaleje. – Jest się czym fascynować! – Jakie to płytkie i głupie!*

Ona naraz odwróciła głowę i nastąpiła chwila, w której nie zdążyłem się cofnąć, mając przez moment przed sobą jej usta półotwarte z wargami jak piękne korale i oczy jak z kolorowej okładki. Jednak ona nie zwróciła absolutnie uwagi na mój niecodzienny wygląd, powiedziała tylko o inżynierze, że grzebie się, a ja opadłem już na oparcie i powiedziałem na jej następną uwagę, że po co w ogóle ta wystawa, że wystawa ta jest interesującym świadectwem postępu. Ona wybuchnęła śmiechem, ale po spojrzeniu na mnie spoważniała. Mówiłem więc dalej, że jej mąż, jako fachowiec i specjalista, musi trzymać rękę na pulsie, ale znowu nastawiła głośno muzykę. Po powrocie inżyniera dojechaliśmy przed gmach wystawy. Przez salę przesuwała się tylko jedna wycieczka.

Romanek z żoną szli przodem, ja za nimi, myśląc stale, że oto z inżynierem Romankiem, moim wykładowcą, którego dyrektor wysoko cenił, i z tą kobietą przebywam w zupełnie nierzeczywistej sytuacji. Do tego sam dyrektor wyszedł zza makiety taśmociągu i podchodził do nas z uśmiechem, w garniturze także ciemnym, jednak bez krawata, tylko w wyłożonej koszuli żółtego koloru, co było dla mnie pewną pociechą. A za nim jego żona, kucykowata, wyrzucała szeroko ciężkie nogi. Dyrektor wyraził zadowolenie ze spotkania, pochwalił mnie za wspomniane przez inżyniera moje postępy, po czym obaj z inżynierem przybrali wyraz odświętny idąc między makietami, portretami, powiększonymi fotografiami kopalni dawnych i obecnych. Ja szedłem obok myśląc serdecznie o inżynierze, który znów przedstawił mnie jako najlepszego ucznia, czego mógł nie zrobić. Chodziliśmy między gablotami podpisanymi „Węgiel brunatny”, w których leżał węgiel brunatny, i innymi, podpisanymi „Węgiel koksujący”, w których leżał węgiel koksujący. Obie kobiety przysiadły na kanapie obciągniętej skórą, stojącej w środku sali. Wycieczka wyszła i byliśmy na całej ogromnej sali wystawowej tylko w te pięć osób, poza woźnym, który nas obserwował czujnie spoza kilofa stanowiącego część odlewu ogromnego górnika w hełmie i z latarką. Odlew zajmował przestrzeń do sufitu, czyli dobre cztery metry. Od kanapy dolatywał mnie zapach znajomych wód oraz rozmowa, a raczej tylko jej fragmenty. Tymczasem dyrektor stanął przed szeregiem twarzy uroczystych albo smutnych i wymieniał ich nazwiska jak dobrych znajomych, z szacunkiem i serdecznością, a to były twarze weteranów, którzy odegrali rolę w powstaniach, a teraz wisieli tu w szeregu i ciągnęli się przez spory fragment wystawy. Dyrektor dodawał przy każdym coś albo mówił: „Tak, tak” albo „Tacy byli”, i kiwał głową. Ja w nich patrzyłem uważnie i stawialiśmy teraz wolno jeden krok za drugim, tamci na nas patrzyli, a ja na nich, bo chciałem ich dobrze poznać i zapamiętać, wyczytać w ich twarzy odwagę i poświęcenie, przeniknąć do nich, na ile tylko się da, co jednak było trudne, zwłaszcza że od strony kanapy stale dolatywały głosy, które komplikowały dodatkowo skupienie wszystkich myśli na eksponatach. Okrążyliśmy całą salę, obchodząc kanapę ze wszystkich stron, jednak tyłem. Wreszcie dyrektor zatrzymał się, pokiwał głową, spojrzął na zegarek i powiedział, że tyle jego przyjemności, że się wyrwie czasem ze swoją kobietą, i już go obowiązki wzywają, a w tym wypadku konferencja na wysokim szczeblu. Inżynier Romanek, wpisując swoje dodatnie wrażenia pod dyrektorem do książki pamiątkowej, powiedział, że też już czas na nich. Wtedy zacząłem całować najpierw rękę żony dyrektora, a potem tamtą rękę. Inżynier Romanek dał znowu wyraz zadowoleniu, „żeśmy tak jakoś na gruncie towarzyskim”, i już odchodząc dodał: „do jutra na wykładach”. Tamte zastukały obcasami na pięknie wyświeconej drewnianej posadzce, ale ja już nie chciałem patrzeć za nimi, dopiero potem, w domu, po rozłożeniu amerykańki, przypomniałem sobie ten odchodzący stukot.

Leżałem pod kołdrą i kocem, bolały mnie kości, co było śladem mojego zdenerwowania, a także uganiania się po lasach za pogrobowcami Hitlera. Łyknąłem środek napotny asprocol, popijając go wodą – herbaty brać nie chciałem ani nic jeść, ani w ogóle poruszać się, żeby nie rozbijać wzruszeń. Ponieważ mam umiejętność przywoływania twarzy po zamknięciu oczu, teraz z niej skorzystałem przywołując widok twarzy o dziecięcym wyrazie oraz różne wymawiane przez nią słowa. Następnie przywołałem także słowa dyrektora i jego twarz oraz obraz inżyniera Romanka, oczekując na ustanie bólu pod wpływem ciepła. Nie mogłem uwierzyć, żeby to wszystko wydarzyło się istotnie, konkretnie, i aż mnie podrywało do biegania po mieszkaniu, takie to były wszystkie wydarzenia nie do przewidzenia dwie godziny temu, kiedy się zaczęły wydarzać. Zagotowałem wodę i przystąpiłem do picia herbaty, a co zamknąłem oczy, to wyskakiwała ona albo w środku samochodu, albo na tle wystawy muzeum.

Rozpocząłem chodzenie po pokoju z kuchnią, a jednocześnie próbowałem w wyobraźni odtworzyć przypuszczalny wygląd mieszkania inżyniera, następnie przysiadłem, wyciągnąłem z lodówki kielbasę, odsmażyłem ją z jajkiem, podsypałem kanarkowi i myślałem o tym, jak oni siadają przy stole, zapalają pięć świeczek na tortcie, odkorkowują tamtą krzywą butelkę, puszczają radio albo płytę i wpijają albo zaczynają tańczyć we dwoje, a okna zasłonięte są cienkimi czerwonymi firankami, które są delikatne, ale nieprzezrocyste. Potem życzą sobie dalszych lat poruszając się w rytmie dobranej wolnej melodii, i ogarnęła mnie naraz straszna ochota, żeby podejść pod dom i zobaczyć chociażby cienie ich na tej firance. Na pewno nikogo nie zaprosili, bo dyrektor nie gratulował, i poruszyła mnie myśl, że Romanek ma do mnie większe zaufanie i sympatię niż do dyrektora.

Zapaliłem lampę, z której korzystałem przy nauce, i obserwowałem ich taniec, odbywający się przy tak samo przygaszonych lampach albo jeszcze prędzej przy świetle świec, tak jak w restauracji „Balaton”.

– *Snob drobnomieszczanin. – Klasyczny przypadek. – Proszę zaczekać z uogólnieniami. Wylazło drobnomieszczańskie szydło. – Ciekawe tęsknoty.*

Raz tam byłem po wypłacie z dwoma kolegami z pracy, którzy przyprowadzili trzy znajome kobiety. Ja tańczyłem z najbardziej brzydką, którą sobie od razu wybrałem z powodu nieśmiałości. Ona nawet, gdyby nie okulary i nie zęby, które miała jak u konia, nie byłaby najbardziej brzydka. Tańczyłem z nią dużo, a że także piłem i w dodatku ona się o mnie tarła, poczułem wtedy męskie sprawy i zwierzyłem jej się, że mieszkam samotnie i jeśli ona nie ma innych zamiarów, to może się przenieść do mnie. I następnie dodałem, co wywołane było także dymem ze świec, że jakby chciała, możemy wziąć legalny ślub. Ale ona wybuchnęła śmiechem i zaczęła krzyzczeć:

– Pełna szajba! Obsuwa! Głupi Zygmunt – wyszczerzała przy tym swoje zęby, a za nią zaczęli się śmiać tamci, chociaż w ogóle nie orientowali się z czego. Więc ja w zdenerwowaniu oświadczyłem, że na imię mi Czesław, a ponieważ ona dalej się śmiała, powiedziałem jeszcze, żeby to przerwała, bo wygląda zupełnie jak koń. Wtedy przestała się śmiać i skoczyła na mnie, za co koledzy mieli potem pretensję. Odtamtąd utarła się o mnie opinia, że się nie umiem bawić.

Tak właśnie tamten zapach świec przypomniawszy mi się w związku z wywoływanym obrazem tańca inżyniera Romanka z żoną. Wyobraziłem sobie jego uśmiech i jak zaprasza ją teraz do stołu na ponowny kieliszek alkoholu, który ona wypija i mówi, że od całej atmosfery kręci się jej już w głowie, a on przyciska ją, całuje i mówi, że to już pięć lat. A jednocześnie wyciąga jej szpilkę z włosów, które rozsypują się już dosłownie na wszystkie strony. Zobaczyłem tak wyraźnie jej bladą twarz oraz usta otwarte do połowy, że otworzyłem oczy, żeby uciec od tego napięcia, które wytworzyło się we mnie. Postanowiłem myśleć teraz o zaśnięciu, oczu jednak na razie nie zamykałem, nie chcąc więcej tych wszystkich przywidzeń oglądać. Patrzyłem tylko na latarnię, która huśtała się za oknem, następnie zacząłem czytać podręcznik z zakresu wykładanego przez inżyniera Romanka. Potem jednak z powodu zmęczenia zamknąłem oczy, jednocześnie traktując to jako próbę, i oczekiwałem tego, co nastąpi.

– To mu właśnie chodziło po głowie! – Do pilnika! – Już gotował plan! – Co za gadanie o oczach? – Tak kto ma spokojne sumienie, to się nie boi zamknąć oczu. – Spokojne sumienie dobre wypocznienie. – Nie ma potrzeby uogólniać.

Następny dzień, jeśli nie brać pod uwagę mojego zmęczenia, był taki jak zwyczajny, ale jednak talii nie był. Wyczekiwałem wykładu inżyniera na WSI. W pracy wydawałem wszystkie polecenia w związku z tą skrzynią biegów do kombajnu, jednak myślami bujałem jak najdalej, rozpatrując wydarzenia wczorajszego dnia, które rano wydawały mi się należącymi do wymyślonych. Tak więc po pracy szedłem jak wczoraj spacerem i skierowałem się do „Delikatesów”, wchodząc do środka, gdzie wszystko było tak jak wczoraj, przy czym, chociaż wszedłem jakby przypadkiem, nie byłoby prawdą, gdybym powiedział, że na nic nie liczyłem. Jednak nie zobaczyłem torby nad głowami ani w ogóle nie było w środku inżyniera. Obszedłem stoiska, przyglądając się niby nalepkom. Po wyjściu, chociaż już była pora największa na obiad, nie spostrzegłem w sobie najmniejszej chęci na zjedzenie go, przeciwnie, czułem napełnienie wewnętrzne i wypilem tylko w najbliższej pijalni płynny owoc z jabłek, który mnie orzeźwił. Na wystawie było pusto. Przeszedłem przed twarzami, zaglądając także za makietę taśmociągu. Na skórzanej kanapie nikogo nie było. Usiadłem w miejscu, gdzie siedziała żona dyrektora, czyli koło tamtej, tak że musiałbym jej dotykać, gdyby tam była. Potem szybko pochyliłem się i powąchałem skórzane siedzenie, licząc, że przechował się jakiś zapach z jej perfum. Inżynier nie przyszedł na wykład, ponieważ wyjechał na inspekcję do innej fabryki. Wykład prowadził ktoś inny, wysłuchałem go nieuważnie. Następnie udałem się pod dom inżyniera z ciekawości, czy okna były podobnie zasłonięte firankami, jak myślałem. Jednak z tej odległości nie mogłem tego sprawdzić. Dalsze dwa dni przeminęły podobnie, ale nie odnajdywałem już takiego pragnienia nauki, jak również z najwyższym wysiłkiem przymuszałem organizm do snu. Siedziałem na amerykańce i głaskałem kanarka, który nie przestawał się mnie bać i trząść się w rękę, chociaż trzymałem go delikatnie, nie przyduszając, co zmniejszało moją samotność.

Czwartego dnia poszedłem do „Delikatesów” i nabyłem butelkę wina, następnie poszedłem do sklepu „Cepelia” i kupiłem firankę, którą umocowałem i zasłoniłem okno. Dodatkowo zapaliłem świecę i oblałem mieszkanie wodą kolońską. Przesiedziałem w nim, pogrążony w myślach przez parę godzin, przy czym moja pamięć nie działała już tak dokładnie i ona pojawiała mi się tylko kawałkami.

To był dokładnie piąty dzień, kiedy w zwykłej porze przed „Delikatesami” zobaczyłem inżyniera Romanka. Ogarnęła mnie nagle słabość, przyspieszyłem i teraz obok niego zobaczyłem kobietę, którą ścisnął za rękę, jednak to nie była jego żona. Szedłem za nim, zastanawiając się nad tym. Naraz inżynier odwrócił się, zobaczył mnie i zatrzymał tę kobietę. Jednocześnie pomachał do mnie ręką. Wtedy zbliżyłem się. Przedstawił mnie tej znajomej uśmiechając się serdecznie, po czym powiedział zdanie, które następnie długo sobie powtarzałem, mianowicie, że jego żona pytała o mnie i żebym wpadł ich odwiedzić choćby jutro. Potem poklepał mnie po ramieniu i odszedł z tamtą, która też miała piękne włosy, jednak nie sprawiła na mnie żadnego wrażenia. Zresztą myślałem wtedy tylko ciągle o tym zdaniu, tak że pożegnałem się z inżynierem w pełnym rozbięciu. Szedłem coraz prędzej, potem zacząłem nawet biec kawałek, żeby jak najszybciej w domu przemyśleć to wszystko od początku do końca. Zasłoniłem okno nową firanką, rozłożyłem amerykańkę, nastawiłem czajnik, następnie odkorkowałem butelkę wina, popiłem nim aspirynę, przykryłem się kocem i oczekiwałem na nadejście ciepła. Połknąłem jeszcze jeden proszek, znowu popiłem winem, i już robiło mi się przyjemnie, ciepło rozchodziło się po mnie, w skroniach czułem uderzenia krwi i pogrążyłem się w rozmyślaniami, jakie powody mogły kierować żoną inżyniera Romanka, że mnie w ten sposób przez niego zaprasza. Zdecydowałem się rozpatrzeć wszystko sprawiedliwie, wstałem spod koca, kości trzasnęły mi, co było właśnie tymi śladami po lesie.

– Przypomniał sobie o zasługach. – Nie o tym mowa. – Profanator! – Proszę kontynuować. To jest dygresja. – Po cóż zaraz uogólniać.

Wykonałem pół przysiadu, żeby odzyskać sprawność w nogach, ale raczej żeby opóźnić tamto spojrzenie. Teraz więc najpierw podszedłem do lampy i zapaliłem światło, potem spuściłem głowę i zrobiłem trzy kroki do przodu, a następnie zastanawiałem się, po co to robię. Jednak jak ja coś postanowię, to już na ogół dotrzymuję, a poza tym jednak wypełniła mnie ciekawość dojścia do prawdy połączona z nadzieją. Wykonałem więc to wszystko zatrzymując się przed lustrem. Potem podniosłem głowę w górę, na umyślnie za wysoko i za mocno w lewo. Zobaczyłem jedno oko i kawałek za grubego nosa oraz usta. Skrzywiłem głowę jeszcze bardziej i wyglądało to nie najgorzej, jak u każdego, tyle że to nie była pełna prawda. Tak więc, powziąwszy już raz decyzję, teraz ją wykonałem. Odwróciłem się prosto do lustra, jednak zasłoniłem ręką włosy, które zwłaszcza z lewej strony były za rzadkie, po czym podejżdziałem tą ręką do góry, bo tak z przygotowaniem było lepiej. Następnie stałem już odsłonięty i patrzyłem, wiedząc tyle samo, co widziałem, że nie jest ani dobrze, ani źle. Wykonałem krok do tyłu i uśmiechnąłem się na próbę, ale w uśmiechu moja twarz robiła się jakaś śliska, za to mniej było widać grubego nosa. Odszedłem do szafy, wyciągnąłem białą koszulę, czarny garnitur, w którym ostatnio byłem na święcie majowym, i krawat, ubrałem się, ale tylko od góry, z kamizelką, zamoczyłem włosy i uczesałem je według mojego pomysłu. Znowu pojawiłem się w lustrze, ale chociaż było porządnie, jednak twarz robiła mi się bardziej nalana i poczerwieniała, co wiązało się także z ciasnym guzikiem. Następnie zrzuciłem z siebie wszystko na ziemię razem z koszulą i kamizelką, bo sprawa wydawała mi się bez nadziei, zwłaszcza że przypominała mi się twarz inżyniera, która jest przy mojej jak niebo i ziemia.

– Estetyk, narcysta, wypaczeniec! – Przejrzelibyście się w waszej pracy! – Najlepiej zgłóście się do zakładu kosmetycznego! – Od razu ta podejrzewałem. – To kluczenie o twarzy nic wam nie da. – Ja bym zaczekał z uogólnieniami.

Poczułem wielki żal, ale zaraz zacząłem myśleć, że może właśnie jest coś, czego nie widziałem, ba nigdy nie ma się na siebie pełnego spojrzenia. Pokazała mi się teraz jej twarz, taka czysta, i poczułem na samą myśl, że mógłbym dotknąć jej włosów, wielką serdeczność i rozrzewnienie. Od nowa zebrałem się, włożyłem koszulę, krawat, kamizelkę i marynarkę, oblałem się wodą kolońską i chodziłem po pokoju. Następnie, już pod kocem na amerykańce, wyobraziłem sobie, jak ona w dymie świec wychodzi do mnie.

Następnego dnia montaż skrzyni biegów przeszedł jak sen. Udałem się do „Delikatesów”, przecisnąłem się do lady i kupiłem butelkę z krzywą szyją oraz nowy flakon wody. Wymyłem się w wannie, włożyłem wszystko i wyszedłem. W jednym ręku trzymałem butelkę, a w drugim zakupione kwiaty. Była godzina osiemnasta. Rzadko oglądałem ulicę o tej porze z powodu wykładów, z których dzisiaj zrezygnowałem. Szedłem do domu inżyniera, ludzie się za mną oglądali z życzliwością z powodu kwiatów i butelki, ja też uśmiechałem się do nich, bo czułem, że idę na spotkanie marzeń. Serce mi biło mocniej niż zawsze i starałem się energicznie wyrzucać ręce, co utrudniały jednak butelka i żółte długie łodygi, które pachniały koło mnie. Na samą myśl, że to nie jest tylko udawanie ani myśli, co bym kupił albo gdzie szedł, ale że właśnie idę ja, technik Czesław Pałek, idę w gości do inżyniera na osobistą prośbę jego żony, idę zwyczajnie, jak człowiek kulturalny z kwiatami, i najdroższą butelką... Przypominałem sobie dodatkowo ojca, który był zwyczajnym dróżnikiem na przejeździe i takiej sytuacji wyobrazić by sobie nie mógł, za co byłem wdzięczny naszemu ustrojowi, który mi ten pochód umożliwiał.

Za drugim dzwonkiem ona otworzyła drzwi. Była w szlafroku, potargana, ale wyglądała jeszcze piękniej, chociaż od razu pomyślałem, że sprawia wrażenie, jakby się mnie nie spodziewała. Patrzyła na mnie uważnie, jakby mnie nie poznawała, nie pytając o nic ani nie zapraszając do środka. Kiedy ja ochłonałem po tym pięknym czerwonym szlafroku i rozsypanych pięknie włosach, po upływie chwili takiego stania wypycham obydwie ręce do przodu, gdyż dotąd chowałem je za plecami, i odzywam się z trudem, przewyciężając poruszenie, przypominam się jako Czesław Pałek, na co ona już się uśmiecha, ale jakby niepewnie. Dopiero na moje dalsze wyjaśnienia wprowadza mnie do środka oznajmiając, że najwidoczniej Artur zapomniał ją uprzedzić, on często wykonuje takie kawały. Oglądając mnie dalej badawczo oświadczyła, że się zmieniłem od tamtego czasu, a ja się zastanowiłem, że może stąd jej zmieszanie, bo istotnie w nowym uczesaniu na gładko oraz w stroju na wizyty zaszła we mnie przemiana. Zaskoczyło mnie, że nie ma Romanka, ale dzięki temu było jeszcze bardziej niecodziennie. Szedłem za nią korytarzem, a ona wykonywała ruchy porządkujące, przepraszając za bałagan. Zamknęła szafę z dębem, na której stał model korsarskiego okrętu z pięknymi żaglami, poprawiła na szerokim tapczanie kapę w kolorze niebieskim ze złotymi frędzlami, poklepała poduszki i kopnęła dywan w różnokolorowe trójkąty, który rozwinął się na cały środek pokoju. Pokazała mi, żebym usiadł na fotelu nowoczesnym, z metalowych prętów oplecionych kolorową żyłką z nylonu. Usiadłem tam, a ona przeprosiła na chwilę w celu przebrania się i przygotowania do mojej wizyty. Siedziałem na wprost biblioteki, nad którą wisiał inżynier w dużych rzeźbionych ramach. Pod nim stały na górze, nad książkami, gipsowe figurki kobiety i mężczyzny gołych, z narzędziami na wierzchu, pod nimi książki w języku rosyjskim, a także lalka w kształcie chłopki, składająca się z kilku segmentów. Wtedy opadły mnie myśli o moim pustym mieszkaniu, poza klatką i lampą nad amerykańką, a tu samych lamp stały trzy, a jedna wisiała rozgałęziając się ładnie na dwie strony. Pod

nią stał malutki, zgrabny stolik na żelaznych nóżkach, z blatem z ceramiki, miał półeczkę z nylonowej żyłki, na której leżały gazety i magazyny. Właśnie na tym stoliku do zielonego wazonu z gliny żona inżyniera wstawiła ofiarowane przeze mnie kwiaty. Wszędzie, gdzie spojrzałem, było coś, chociażby reprodukcja, i to wszystko odbierało mi dodatkowo śmiałość, chociaż jednocześnie wprawiało w stan zagadkowego otumanienia. Postawiłem butelkę na tym stoliku, a tymczasem żona inżyniera weszła w sweterku i spódnicy, wnosząc z sobą tamten znajomy zapach, który jeszcze bardziej zakręcił mi w głowie. Wyraziła zdziwienie z powodu butelki, że taka droga, przyniosła korkociąg i dwa kieliszki, które ja napełniłem orientując się z drżenia rąk w moim zdenerwowaniu.

Powróciłem do zaproszenia, które otrzymałem od inżyniera – tu się zająknąłem, ale nie myślałem mówić o tej jakiejś znajomej, z którą go widziałem. Zresztą on trzymał tamtą za rękę raczej serdecznie, po koleżeńsku i przy niej powiedział mi o zaprosinach żony. Powtórzyłem to znowu, ona popatrzyła jakby dziwnie, podniosła kieliszek i wypiliśmy. Wpatrywałem się w jej twarz i uzupełniając to, co mówiłem, jeszcze podziękowałem za zaproszenie mnie do niej. Uwierał mnie kołnierz i czułem pulsowanie i czerwienienie twarzy, dalej jednak mówiłem o jej wyjątkowej uprzejmości i wspaniałomyślności, bo ja nie jestem dla niej atrakcją i nawet teraz ona w ogóle nie wie, o czym ze mną rozmawiać. Ale dla mnie samo siedzenie przy niej to jest ogromna radość i odmiana w całym życiu. Ona uśmiechnęła się i rozpoczęła: – Panie... – Pałek, Czesław Pałek – podsunąłem. – Panie Czesławie... – tak powiedziała tym głosem swoim melodyjnym, a mnie aż słabo się zrobiło i opuściłem kieliszek, rozlewając na garnitur trochę wódki, co zresztą postanowiłem ukryć, a nie brać się da czyszczenia. – Panie Czesławie – usłyszałem znowu zawsze może pan zaglądać, będzie nam miło Wypiła swój kieliszek i dostała kolorów na bladej buzi. A ja tylko patrzyłem nie mówiąc nic, patrzyłem i patrzyłem, żeby starczyło mi tego na długo i mogło to do mnie powracać przez długie odstępy czasu. Jednocześnie miałem dla siebie podziw, że zdobyłem się na taką odwagę, żeby przyjść tu tak od razu i tak siedzieć naprzeciwko. – Artur pana lubi – powiedziała zakładając nogę na nogę. – Wybije się pan, kupi samochód, ożeni się pan, będzie pan miał dom... – A ja słuchałem przepelniony nadzieją, że powie jeszcze raz „panie Czesławie”, i chciałem położyć głowę na jej kolanach, bo mi się naraz wydała dobra, i poczułem się rozczulony, bo nikt tak do mnie troskliwie nie mówił ani w pracy, ani w życiu. Wyobraziłem sobie, że ona jest moją kobietą, i pomyślałem, jak bym siedział przy niej na ziemi, całując ją w ręce i kolana, do których przytulałem głowę, albo wchodzę z nową suknią, albo z nowym dywanem. Kiedy indziej podjeżdżam samochodem i znoszę ją po schodach na wyjazd albo sprzątam, ona wraca, a tu posprzątane. W tych marzeniach spoglądałem na półotwartą książkę w kolorowych okładkach, która leżała na stoliku. Otrząsając się zapytałem o treść i dowiedziałem się, że jest to książka *Życie seksualne dzikich*. Na pytanie, czy to znam, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie, i byłem cały czerwony. Ona oświadczyła, że to ciekawe, o zupełnie odmiennej cywilizacji. Wtedy oświadczyłem, że to kupię, ona powątpiewała, gdyż książka została wykupiona. Powiedziała jeszcze na korzyść tej książki, że jest ona naukowa, jednak przejrzysta. Akurat wtedy zazgrzytał klucz w zamku i za chwilę do pokoju wszedł inżynier. Najpierw spojrzał na mnie jakby ze zdziwieniem, ale zaraz ucieszył się, ścisnął mnie za rękę i zapytał, co na oddziale. Byłem ogromnie zmieszany całą sytuacją, jednak wyjaśniłem, że robimy te skrzynie biegów na importowanych paskach, na czym kombajn ogromnie zyskuje, i są otwarte możliwości na eksport. Inżynier nalał sobie kieliszek, ona podniosła się z książką i usiadła na tapczanie podkurczając nogi, ja zaś nie słuchałem inżyniera, tylko miałem przeczucie, że nie zasnę już więcej w ogóle.

Następnego dnia po pracy wyszedłem z podręcznikiem i znalazłem się pod ich domem. Z daleka zauważyłem inżyniera Romana myjącego samochód. Mył go przez dłuższy czas, następnie wycierał i znowu zaczynał myć, co czynił dokładnie, i samochód już błyszczał. Ale mył go dalej. Postanowiłem nie podchodzić, tylko usiąść z boku i poobserwować. Nie było dzisiaj wykładów, tak więc od samej szesnastej miałem wolne. Uczyłem się o ogniach, w których energia chemiczna zamienia się na energię prądu elektrycznego, jednakże za dużo się nie nauczyłem, zbyt byłem rozproszony i ciągle zносиło mi oczy na ich okna na trzecim piętrze. Gdyby ona ukazała się w którymś, to nie byłby już stracony dzień. Romanek dalej mył samochód, a ja czytałem o jonach SO₄ wędrujących do roztworu, podczas gdy elektrony pozostawały na płytce cynkowej. Robiło się coraz ciemniej, dookoła pięknie szumiały drzewa, a ja myślami byłem przy niej, tam, gdzie akurat zapaliło się światło i gdzie udał się inżynier Romanek. Zastanawiałem się, że też to akurat na mnie spadło, udaremniając poprzedni styl życia. W ciągu najbliższych dni dokonałem zakupu ceramicznego stolika z żelaznymi nóżkami i przemierzyłem całe miasto szukając w księgarniach tamtej książki, co rzeczywiście było bezcelowe. Wtedy jednak właśnie narodził się we mnie pomysł, aby wykorzystać tę sytuację do odrobienia następnej wizyty. Przebrałem się i zaobserwowałem nieobecność samochodu z inżynierem, wszedłem na górę. Jednak pod drzwiami opadły mnie wątpliwości oraz wyrzuty sumienia. Zawróciłem na dół, postanawiając siłą charakteru odmówić sobie zobaczenia jej więcej. Na parterze zatrzymałem się znowu i odpowiadając sobie, że nie mogę się tego pozbawić, wszedłem na górę z uczuciem, jakiego doświadczałem przenosząc broń w partyzanckich czasach.

Nacisnąłem dzwonek od razu, już teraz bez namysłu, żeby odciąć sobie odwrot, tak jak wtedy ze skurczem przechodziłem między żandarmami. Odczekałem chwilę z myślą, że jej nie ma, i już zabrałem się do zbiegnięcia ze schodów, kiedy głos zapytał: – Kto tam? – Odpowiedziałem, że Pałek, Czesław Pałek. Drzwi się

otworzyły, stanęła w nich ona, znowuż w szlafroku, i poczułem na jej widok tak wielką radość i wzruszenie, że mnie to zaskoczyło. Następnie zadałem fałszywe pytanie, czy jest inżynier Romanek, i zaraz potem zwierzyłem się jej z trudności w nabyciu książki o życiu dzikich, czego wysłuchała z wyraźnym zaskoczeniem, jednak przyglądając mi się uzupełniła, że to chodzi o życie dzikich seksualne, co ja wiedziałem, tylko nie mogłem się zdobyć na to słowo. Mówiłem więc dalej, że szukałem wszędzie po mieście, i szedłem za nią, znów widząc dywan rozwijający się na moich oczach. Usiadłem w fotelu naprzeciw i mówię, że wiem, że się z pewnością narzucam, ale nie mam absolutnie żadnych bliskich, u których mógłbym spędzać wolny czas, a ona z mężem mówili do mnie jak do równego człowieka, i że to jest sprawa nie mająca dla mnie żadnej ceny, na co ona wyciągnęła tę moją butelkę jeszcze nie skończoną, przyniosła kieliszki, a ja mówiłem, że jej mąż to wspaniały fachowiec i że ona jest szczęśliwa, na co krzywiła się mówiąc, że stale wyjeżdża, że jest zalatany. Więc ja znowuż wspominałem, że gdybym ja mógł tak zaglądać do niej, toby dopiero rozpoczęło się dla mnie życie, czego, zdawało mi się, że nie słucha, ponieważ wstała i nastawiła adapter. Otoczyły mnie odgłosy Afryki i dziwny instrument wygrywający dziang, dziang, dziang. Pomyślałem wtedy, że gdybym tak z nią był na wakacjach nad morzem i szedł plażą, na wodzie układałoby się słońce, a ja mógłbym ją trzymać pod rękę, i nie myślałem absolutnie o niczym innym, tylko ogarnęło mnie wielkie pragnienie wyjazdu z nią na urlop. Wtedy znowu doleciało mnie głośniejsze dziang, dziang i ona usiadła na tapczanie z przymkniętymi oczami, w rozchylonym szlafroku, a tamta muzyka rozlegała się coraz głośniejsze i szybciej. – Niech pan tego słucha, panie Pałek, niech pan słucha -powiedziała cicho, inaczej niż zwykle. Odchyliła głowę do tyłu, przymknęła oczy, a do ust włożyła palce, przygryzając je następnie. Oświadczyłem, że słucham oczywiście bardzo uważnie i że to są odgłosy bębna, że również lubię głośną nowoczesną muzykę. Ale ona pokręciła głową, kołysząc się w lewo i w prawo coraz szybciej, zagryzając mocniej te palce, po czym nagle otworzyła usta i wykrzywiła się zamykając mocno oczy. Przypomniałem sobie wtedy takie miejsce na plaży, w którym byłem w zeszłym roku, gdzie akurat mała struga wpada do morza. Więc przez taką strugę mógłbym ją na rękach przenosić. Tymczasem płyta się skończyła. Ona siedziała chwilę z zasłoniętą rękami twarzą, potem westchnęła, otworzyła oczy i zapytała, co ja na to. Powiedziałem, że dziękuję, że to jest ładne, chociaż wydaje mi się zupełnie dzikie. – Pożyczyłam tę płytę na parę dni, jeżeli pan chce, to możemy ją puścić jeszcze raz, tylko niech pan nie siedzi tak sztywno, panie Czesławie, niech pan, na litość boską, słucha uważnie. – I znowu rozległo się dziang, dziang, dziang, a ona oparła się o ścianę i osunęła się po niej wolno, przykucnąwszy na podłogę. Nad nią na ścianie wisiała wielka szyszka, a pod nią powycinane zdjęcia z gazet, naklejone na kartonie, umocowanym na czerwonej kokardce. Był tam papież, gangster oraz Murzynka bez ubrania, obwiązana na gołym ciele liną i przywiązana do pala. Teraz płyta grała bardzo głośno i ona podniosła się mówiąc: – Zatańczymy, panie Pałek. – Więc podniosłem się także, sam nie wiedząc, co robić, wyciągam ręce, ale widzę, że ona staje naprzeciwko z oczami zamkniętymi, w rozchylonym szlafroku i huśta się w lewo i w prawo, w lewo i w prawo, uginając nogi w kolanach. Ręce mi drżały, bo widziałem coraz więcej ciała wysuwającego się z tego szlafrocka, chciałem ją objąć do tańca, ale widzę, że ona chce tańczyć nowoczesnie, tak jak ja nie umiem, więc huśtam się obok, przymykając na próbę oczy tak jak ona, kiedy naraz czuję jej rękę na głowie, ją koło siebie i ona przyciągając mnie za włosy całuje mnie i odpycha, bo już teraz tańczy tyłem. Przede mną latają te piękne włosy, a ja czuję się najszczęśliwszy, bo to, co jest niemożliwe, staje się możliwe, i nagle rozumiem, że ona ma dla mnie jakieś uczucie. Wtedy przestaję tańczyć i mówię: – Proszę pani, ja poczułem to od pierwszej chwili, kiedy panią zobaczyłem, i gdyby między nami nie stał inżynier... – Ale ona znów odwraca się z wykrzywioną twarzą, nie słuchając, więc przerywam i teraz tylko dźwięczy dziang, dziang, dziang, ale naraz słyszę głos inny, mianowicie klucza w zamku. Więc skaczę do płyty, wyłączam ją i mówię, że jest inżynier. Ona patrzy na mnie jak przez mgłę, ale naraz ocknęła się, poprawiła szlafrok, siada na fotelu, a ja naprzeciwko.

– Zakłamaniec! – To już są szczyty! – Co wy do nas z tą Afryką! – To nie jest żadne usprawiedliwienie! – Chwała Bogu, że jeszcze zdążył! – O ile to się na tym skończyło. – Oto go macie całego! – Zaczekałbym z uogólnieniem.

Mnie trzęsły się ręce, ale kiedy wszedł inżynier, spojrzął na mnie i od razu się ucieszył. Mnie jednak nie opuszczało drżenie, gdyż spodziewałem się, że ona będzie chciała od razu porozmawiać z inżynierem, przedstawiając mu to, co między nami zaszło. Siedziałem więc jak chory, podczas gdy ona gładziła inżyniera po twarzy i włosach, zachowując się serdecznie, a na twarzy udało jej się zupełnie zamaskować uczucie, które dla mnie miała. Siedzieliśmy w trzy osoby i teraz ja mordowałem się, czy nie zacząć mówić wszystkiego, bo jednak czułem się niedobrze, bo wszedłem w końcu w życie rodzinne zakłócając je.

– Jaki wrażliwy! – Rychło w czas! – A konkretnie à propos de facto.

Jednocześnie zwracał moją uwagę i bolał mnie tym dotkliwiej dobry humor inżyniera, który najwyraźniej nie zachodził w żadne podejrzenia ani nie wykazywał się najdrobniejszym rozpoznaniem sytuacji. Ja zresztą także nie mogłem wyciągnąć na poczekaniu wszystkich wniosków, ponieważ znajdowałem się w stanie całkowitej utraty panowania nad sobą.

Następnego dnia wykład inżyniera Romanka rozpoczął się od tego, że nie miałem wystarczającej ilości odwagi, potrzebnej do popatrzenia mu prosto w oczy. Jednak wielką siłą podniosłem głowę i zacząłem

obserwować inżyniera otwarcie. Zbierałem także uwagę konieczną do wysłuchania i zapamiętania wykładanego tematu, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że nie mogę spóźnić się w nauce, i w pełni rozumiałem korzyści, jakie przynosi wiedza. Romanek mówił o trudnym zagadnieniu z zakresu prężności roztwórczej miedzi i cynku. Moje skupienie jednak okazało się krótkotrwałe, co wynikało ze zmęczenia nabytego w czasie nocy, w której nie spałem, a wymyśliłem pewne podejrzenie i teraz je właśnie poddawałem pod rozwagę. Nie miałem co do tego pewności, jednak gdyby okazało się, że to posiada odbicie w życiu, toby albo oddaliło, albo zmniejszyło moją mękę i pozwoliło na pojawienie się nadziei i przeprowadzenie porządku w moich uczuciach i myślach. A także na patrzyenie bezpieczne na prowadzącego wykład Romanka, który informował obecnie o wymianie energii chemicznej na energię prądu elektrycznego, przy czym inżynier skierował na mnie uśmiechniętą twarz z wyrazem zaufania i beztraski, co mnie przechyliło w dół, do kawki, wywołując pojawienie się takich wyrazów, jak na przykład uczciwość albo lojalność, albo szacunek. To wszystko w sumie całkowicie zamaściło mi obraz stwarzany przez Romanka wędrówki odbywanej przez elektrony na płytkach.

Po wykładzie inżynier podszedł do mnie z propozycją, żeby znów ich obydwójce odwiedzić, co podwoiło moje zmieszanie. Postanowiłem już wcześniej odmówić, a to w związku z moim planem, i to wykonałem podając jako powód sztuczny uzupełnienie nauki przed zbliżającymi się sprawdzianami na WSI.

– Typowy przykład podstępności. – Właściwie co go naszło? – Zamotał się we własne sidła. – Wszystko było ukartowane. – Ciekawy przykład sytuacji. – Opuścił się w nauce i w moralności. – Jedno zło rodzi drugie, jeszcze gorsze. – Jednak bez metafizyki. – Może przeczytał niewłaściwą lekturę. – Ja bym nie uogólniał.

Dwa dni następne, po zakończeniu pracy, gdzie pojawiła się trudność w związku z przedwczesnym pękaniem naszych pasów, na które przeszliśmy w zastępstwie pasów z importu, co otwierało drogę do reklamacji i zwracania nam z korzyścią sprzedawanych za granicą kombajnów – spędzałem pod domem inżyniera, który mył samochód i jeździł nim dookoła placu. Zaniedbałem naukę, a jednocześnie wszystko stało w miejscu. Oglądałem cienie za oknami oraz prawie krzyczałem uderzając mocno pięścią po drzewie, za którym spędzałem bez wartości czas na obserwacjach i męczących myślach. Jednak trzeciego dnia inżynier sam podszedł do mnie w pracy z informacją, że wyjeżdża służbowo na trzy dni, a na zakończenie rozmowy dodał: – Zajrzyjcie, kolego Czesławie, do żony, niech się rozerwie.

I tego dnia posuwałem się za inżynierem, który udawał się w kierunku dworca z małą, bardzo ładną walizką w kolorze czarnym, na zatraski. W czasie tego spostrzegłem w sobie, w miarę jak inżynier był bliżej dworca, wzbierający stan zdenerwowania, który objawiał się biciem serca, załamującym się oddechem, a także poceniem rąk, które wycierałem w niedawno nabytą chustkę w kratę. Zwalniałem, kiedy Romanek, wymachujący walizką, która musiała niedużo ważyć, zwalniał. Przystawałem zupełnie za latarniami oraz drzewami w bezpiecznej wybranej odległości, kiedy Romanek stawał na pasach albo rogach ulic. Myślałem też o tym, że jest to pochód, w którym każda następna chwila może okazać się w efekcie decydująca o moim przyszłym życiu. I to, że się ta decyzja odkłada, zwiększało moje zaniepokojenie. Za skrzyżowaniem, przed samym już dworcem, Romanek zwolnił, przelożył walizkę do lewej ręki, a prawą przytulił do ciała tę samą szczupłą brunetkę. Ona położyła mu twarz na ramieniu i tak posuwali się wspólnie dalej, jedno i drugie. Był to moment pamiętny, w czasie którego poczułem silne uczucie ulgi i zadowolenia, a z drugiej strony uczucie, że coś się już zamyka, bo teraz nie miałem wątpliwości, gdzie skieruję swoje kroki. Tak też zrobiłem. Tego samego wieczoru, tylko w dwie godziny później, które zużyłem na przebranie garnituru oraz odświeżenie całej skóry wadą, szedłem ulicą, przy czym biała koszula przylepiała mi się do ciała, chociaż wcale nie spostrzegłem gorąca na dworze. Przed schodami przystanąłem i zdjąłem marynarkę, gdyż uczucie gorąca zwiększyło się, a nie chciałem wchodzić jako zgrzany. Powąchałem koszulę, która, jak się spodziewałem, przetrzymała zapach wody. Jednocześnie wyciągnąłem z kieszeni od spodni podskakującą mi przy krokach krzywą butlę. Myślałem o tym, że inżynier Artur Romanek oraz towarzysząca mu osoba oddalają się teraz pociągiem w kierunku centralnego miasta. Przypomniałem to sobie w celu zwiększenia usprawiedliwienia dla dokonywanego postępu w wypadku nie budzącej wątpliwości zdrady inżyniera i myślałem idąc już po schodach, że gdyby nie to odkrycie, nie wszedłbym teraz po tych schodach i nie zadzwoniłbym do niej, jak również nie zobaczyłbym, tak jak zobaczyłem, jej samej w szlafroku równie pięknym co poprzedni, jednak w innym kolorze, niebieskim, obszytym dookoła koronką, która z przodu układała się jako przezroczysty kołnierz. Wykonałem wtedy zdecydowany krok w jej stronę i pochyliłem się nad miękką ręką, która dotykała przez chwilę moich ust. Następnie zadałem z trudem fałszywe pytanie o inżyniera, którego nie chciałem zadać, ale wynikało to z braku śmiałości na inne rozpoczęcie wizyty. Powiedziała, że nie mam do Romanka szczęścia, co wywołało znów u mnie szereg udręczonych myśli i spostrzeżeń co do mojego postępowania, jak najdalej bowiem byłem od uznania go za właściwe i nie układało się ono w żaden związek z moim zachowaniem przez całe życie, które było tak układane, że nie miałem co do siebie zastrzeżeń i ojciec mój, znany jako człowiek surowy, nie mógłby mieć co do tego uwag do tej pory.

Ona kopnęła ponownie w dywan, który przykrył całą posadzkę, i zapaliła lampę w kolorze czerwonym, które to światło wytwarzało nastrój osobisty. Na stoliku ujrzałem inną książkę, na której goryl trzymał kobietę w rękach pośród buchających płomieni, książka miała tytuł z francuskiego, dla mnie niezrozumiały. Połałem alkohol do kieliszków. Ona usiadła na tapczanie i powiedziała, że nigdy by sobie nie wyobrażała, że ja piję tak

dobrany, drogi koniak, tylko że raczej widziała mnie jakoś naturalniej. Ja powiedziałem na to szczerze, że taką butlę kupuję tylko na prezent. Wypiliśmy po kieliszku, po czym napełniłem je powtórnie, jednocześnie patrząc na jej smutne oczy dobrego dziecka, i rozpocząłem wyznanie, co było chwilą ogromnie ciężką i przekraczającą moje umiejętności. Patrzyłem na jej twarz aż do bólu w oczach, mówiąc, że to nie jest z mojej strony ani kawalerska fantazja, ani lekkomyślna pustota. Nie jest to także nieuczciwe, ponieważ to sprawa bardzo poważna, która wprawia mnie w stan męki, pozbawiając mnie i snu, i wykluczając skupienie na wykładanych przedmiotach w WSI. Tak więc stan, w jaki wpędziło mnie uczucie, oraz pewna okoliczność, której nie chcę tu wysuwać, upoważniają mnie do tego wystąpienia, przy czym młodość przeszła mi niepostrzeżenie na pracy oraz na walkach leśnych.

Ona tymczasem siedziała na tapczanie z podwiniętą nogą i kiedy doszedłem do tego momentu, przerwała mi zwracając się z prośbą, abym koniecznie o tym opowiedział więcej, gdyż tam, w lesie, na pewno miały miejsce jakieś brutalne historie zaprawione okrucieństwem. Więc wyjaśniłem, że to są widziadła z przeszłości, o których nie warto w takiej chwili mówić. Jednak ona nie zgodziła się ze mną. Odrzuciła głowę do tyłu ze słowami: – Proszę, niech pan o tym opowie, panie Czesławie, ja bardzo proszę – i dodała, że inżynier nic takiego nie przeżył, ponieważ należy do innej generacji ludzi, a jej zdaniem bez takich przeżyć nie jest się całkowicie mężczyzną, i dalej prosiła, abym opowiedział historię pierwszą z brzegu. – No... no... proszę – wysuwała do mnie bliżej z tapczanu twarz, która była jeszcze bardziej błada.

Tak więc, nie widząc możliwości ominięcia tego tematu, zacząłem wywoływać z pamięci obraz i mówię, że opowiem taką historię, jak posuwaliśmy się w sześciu jako rozpoznanie. Ona na to zapytała, czy była zima i czy był głęboki śnieg, w którym się zapadaliśmy. Więc odpowiedziałem, że nie, na co zakołysała się na tapczanie, przymknęła oczy i już tak cicho, że prawie szeptem, zadała pytanie, czy byliśmy brudni, obrośnięci i otoczeni przez uzbrojonego nieprzyjaciela, odpowiedziałem, że, jak wyjaśniłem, szliśmy tylko na zwiady, po czym zebrałem się i wróciłem do swojej sprawy, ale ona znowu zatrzymała mnie w słowach: – Niech pan dalej o tym, o lesie, błagam, niech pan nie przerywa.

Mnie się gromadziły na czole krople potu, podobnie koszula lepiła się do mnie, powiększało się także moje wyczerpanie tą sytuacją i nie mówiłem przez chwilę nic, wtedy z prośbą w głosie wypytywała dalej, ilu z nas zginęło na naszych oczach w błocie, jak zaskoczył nas nieprzyjaciel, więc w końcu dodałem jednak, że na nikogo nie wpadliśmy, tyle, że straciliśmy karabin właśnie w bagnie, na co ona pokręciła znów głową ze słowami: – O tak, tak – krzyżując obie ręce na twarzy. Tu znowu przerwałem, oświadczając z rozpaczliwym postanowieniem, że o tamtych sprawach mogę pomówić później, jednak teraz absolutnie nie będę tego robił, bo muszę jej dopowiedzieć wszystko, co czuję w związku z nią. Ona leżała przez chwilę nieruchomo, po czym westchnęła przeciągając się na tapczanie, powstała z niego i podeszła do adaptera. Dziang, dziang, dziang – napłynęły znajome mi już dźwięki z afrykańskiego buszu. Żona inżyniera powróciła na tapczan i przez dłuższą chwilę czułem na twarzy jej wzrok. Potem zwróciła się do mnie ze słowami: – Chodź tu – i powtórzyła je dodając: – Chodź tu, Czesławie. – Wtedy podniosłem się z fotela i postąpiłem kilka kroków idąc jak automat w oszołomieniu. Następnie przy samym tapczanie przysiadłem na ziemi mając przed sobą rozmigotany na niebiesko z białym grubym dywan, jeszcze ładniej wyglądający w świetle czerwonej lampy. Następnie złożyłem jej głowę na kolanach, tak że na ustach miałem delikatny szlafrok, i odczułem w sobie spokój i szczęście ogarniające całe ciało. Nie chciałem już nic dodawać, a tylko myślałem o tym, żeby tak siedzieć w spokoju, cicho przy jej nogach i cały pokój w mojej wyobraźni zmienił się w piasek koloru złotego znad morza.

Dziang, dziang, dziang – rozległo się teraz głośniejsze z adaptera, a jej ręka przejechała mi po twarzy pieszczotliwym ruchem i wjechała lekko we włosy, sprawiając mi cudowne uczucie, które jednak teraz niespodziewanie zamieniła się w ból wywołany silnym zaciśnięciem jej ręki na włosach przy skórze. Poczekałem chwilę, ale widząc, że ból nie jest ani trochę mniejszy, rzuciłem się w bok głową, cały usztywniony w niewygodnej pozycji. To dało wynik i palce obluźniły teraz uchwyt. Tymczasem zaś jej ręka zsunęła się na dywan, a za ręką ona cała przeniosła się na podłogę przy mnie, przy czym wzięła moją twarz w obie ręce i przycisnęła do biustu, który teraz stawał się coraz bardziej widoczny spod rozpiętego u góry szlafroka. Leżąc w takiej pozycji poczułem znowu w całym ciele ogromnie rozczulające ciepło. Przy mnie dudniło jej serce, jednak w chwilę później podniosła moją twarz i opadły na mnie wargi na długo, i w tym samym momencie, nie przerywając odbywanego ze mną pocałunku, zaczęła szarpać ciałem wydobywając je spod szlafroka, tak, że na koniec ukazała się zupełnie naga. Ponieważ zgrzytała płyta, na co przez chwilę nie zwracaliśmy uwagi, posunęła się po podłodze przesuwając igłę na początek i mówiąc coś po cichu, znowu przylutona do mnie, zaczęła rozwiązywać mój krawat, a następnie ściągać marynarkę. Po chwili sam rozpocząłem rozsznurowywać buty, po czym odsunąłem się i zdjąłem spodnie oraz wszystko i powiesiłem na krześle. Znajdując się teraz nago; zasłonięty przed jej wzrokiem poręczą krzesła oświadczyłem, że nigdy nie pojawiła się u mnie myśl, aby ją skrzywdzić. Nie odpowiedziała, tylko zamknęła oczy i wyciągnęła ręce. Wtedy wyszedłem zza krzesła i przebiegłem te parę kroków, a następnie położyłem się koło niej.

Wtedy owinęła się dokładnie dokoła mnie, a następnie z taką siłą zacisnęła ręce i nogi, że nie mogłem wykonać najdrobniejszego ruchu. Jednocześnie czułem, że jej ciało jest potrząsane dreszczami, które pojawiały

się coraz częściej. Znowuż mówiła coś niewyraźnie, jakby raczej to było przeznaczone tylko dla niej, a głową rzucała w lewo i w prawo zgodnie z afrykańskim rytmem. Odbylem wtedy próbę poruszenia się, jednak ostrożnego; przy czym, tak jak sądziłem, pozbawiony zostałem takiej możliwości. Przeniosłem wzrok na jej twarz i zobaczyłem, że oczy ma otwarte, jednak zupełnie pozbawione wyrazu, wyglądające na nieprzytomne i powiększone w stosunku do wyglądu zwykłego. Poczulem wtedy zwiększający się niepokój o nią i kierowany tym uczuciem rzuciłem się nagle w bok, co nic nie zmieniło, i wtedy ze strachem ponowiłem to. Zacząłem się rzucać i szarpać, robiąc to jak najszybciej i gwałtownie, aby się uwolnić, obserwując w tym czasie jej wykrzywioną jeszcze bardziej twarz i otwarte szeroko usta. Straciłem jednak siły, a po twarzy spływał mi pot, którego nie mogłem nawet otrzeć. W następnym momencie nadeszła chwila, w czasie której przestałem rozumieć wszystko, co się działo również ze mną. Zamknąłem oczy i zaraz odczułem, że już nie jestem tak unieruchomiony, czyli że ona widocznie zaczyna mnie wypuszczać. I istotnie, jeszcze za chwilę poczułem już zupełną swobodę w ruchach. Odplątałem jej ciało oswobodzając się z niej. Następnie przysiadłem obok obserwując niespokojnie, czy jej twarz wróciła do poprzedniego wyrazu, i z ulgą zobaczyłem, że się wyrównała i znowu była taka, jaka pojawiała się w moich marzeniach.

Leżała bez żadnego ruchu z zamkniętymi oczami, a ja oświadczyłem, że od pierwszego spotkania w „Delikatesach” miałem przekonanie, że jej obraz mnie nie opuści, chociaż nigdy nie myślałem nawet w tych najbardziej śmiałych marzeniach o tak poważnej z nią bliskości i że wszystko zajdzie tak daleko. Widząc jej brak reakcji podniosłem się, przeszedłem za krzesło i tam włożyłem ubranie, następnie odnalazłem jej szlafrok, nakryłem ją i usiadłem na krześle czekając, żeby się poruszył, ponieważ nie mając doświadczenia w takich sytuacjach nie chciałem wykonać czegoś nieodpowiedniego. W głowie huczały mi sprzeczne myśli, które postanowiłem uporządkować już wieczorem w domu. Ona istotnie za chwilę westchnęła, potem zamrugła oczami, poprawiła włosy, uśmiechnęła się pięknie i łagodnie i wstała, zresztą bez szlafroka, którym ją nakryłem, co wywołało znowu we mnie większe zmieszanie, i odwróciłem spojrzenie. Szlafrok ciągnęła za sobą po ziemi i wykorzystwała go dopiero po paru chwilach.

– Co on teraz z tym szlafrokiem? – Obsesjonat! – Fetyszysta! – Tu nie dom towarowy. Wydał się, że uprawiał z nią stosunki. – Rodzina jest podstawową komórka. – Niech on by był inżynierem, posiadał ognisko i ktoś by mu się wkradł. – Nikt tu nie jest generalnie przeciw instynktom. – Nikt nie chce, żeby żył jak mnich. – Człowiek jest zasadniczo marnościami. – Jednak nie każdy. – Są przykłady przeciwne. – Przecież nikt nie mówi, że każdy. – Ale wypada egzemplifikować z dokładnością. – Sam poznałem kiedyś pewną luksusową damę. – Tylko na Zachodzie miłość jest bezmyślnym tworem przyrody. – Nie deprecjonując osiągnięć tamtejszej cywilizacji. – I ta luksusowa dama oświadcza mi, że mnie kocha. A byłem wtedy mężem wybitnej urody, aczkolwiek z lekką tendencją do tycia...

Następnie zwróciła się z propozycją, abyśmy się napili herbaty, i wkrótce wniosła dymiące filiżanki oraz herbatniki pokropione dżemem ze śliwek. Usiadła naprzeciwko i chrupiąc herbatniki powiedziała, że jej jedna znajoma mówiła, że jej znajomy zasadniczo się zmienił na korzyść, kiedy zamiast na gładko zaczął włosy zaczesywać na przód. Ja powiedziałem wtedy, że zdaję sobie sprawę, że mój wygląd odbiega od dobrego i fizyczność moja prezentuje się znacznie gorzej niż inżyniera Romanka, jednak dodałem, że postanowiłem wziąć się za sporty i uzyskać energiczny wygląd. Na co skrzywiła się, że energiczny wygląd to nie jest wszystko i że jeżeli jestem zainteresowany jej opinią, to nie muszę się brać za sporty ani dokupywać ubrań, a właśnie zachowywać się tak, żeby być w zgodzie ze swoim charakterem. Poczulem się poruszony tym dowodem uczucia i wypilem herbatę, przy czym gorąco zrobiło mi dobrze, jednak odsunąłem herbatniki, gdyż istotnie nie mogłem jeść słodkiego. Na to popatrzyła na mnie przymrużonymi oczami z napięciem i zadowoleniem, po czym dodała, że tego po mnie oczekiwała, ale że ma coś dla mnie innego. Następnie z przymrużonymi oczami i otwartymi ustami obserwowała, jak siedzę nad wniesionym przez nią wielkim kawałem schabu, składającym się raczej z samego tłuszczu. Zjadałem to panując nad mdłościami, ponieważ nie lubię tłustego, jednak nie chciałem sprawić jej przykrości ani urazić, połykałem kawałki, żeby jak najkrócej czuć smak. Jednak i tak nie mogłem dojeść wszystkiego i odsunąłem talerz na bok, tak żeby tego nie oglądać dłużej. Przesiadła się koło mnie, rozpięła mi koszulę pod krawatem i przesuwała paznokciami po piersiach. Wtedy też poruszyłem pierwszy raz gnębiącą mnie i zatruwającą każdą przyjemność sprawę jakiegoś unormowania naszego związku oficjalnie. Przyjąłem całą winę na siebie, jednak dodałem, że nie mogąc tego wytrzymać widzę konieczność odkrycia przed inżynierem sytuacji dla całkowitego

wyjaśnienia. Mimo że ona surowo przestrzegała mnie przed bezładnym pośpiechem i zażądała obietnicy, że przez ustalony czas inżynier nic się nie dowie, bo to jest sprawa trudna i wymagająca przemyślenia, nie wspomniałem o swoim odkryciu na dworcu sprzed wizyty, gdyż nie wydawało mi się to przyzwoite. Ona uzyskała ode mnie obietnicę i wtedy przytuliła się ponownie całym ciałem, wznowiła drapanie mi piersi, prosząc, abym skończył tłuszcz, i dodała, że prosi, abym ręce wytarł w obrus. Oświadczyła też, że jutro na obiad znowu kupi mi coś do jedzenia, poruszając sprawę tamtej znajomej, która opowiadała jej, że przyjemnością było kupowanie i gotowanie swojemu znajomemu tego, co chciał.

W ciągu następnych dwóch dni nie umiałem uporządkować ani zrozumieć przeżywanych wzruszeń. Ona przynosiła mi pantofle ranne inżyniera, które okazały się za małe, co ją wyraźnie ucieszyło. Przytulała się do moich kolan i oglądała moje palce od nóg podkreślając z zadowoleniem, że są pięknie owłosione, i byłaby je pocałowała, gdybym w tym już nie przeszkodził. Równocześnie nadal częstowała mnie takim samym mięsem, które zjadałem z tych samych pobudek co poprzednio.

Bardzo lubiła oglądać mnie bez ubrania i stale tego wymagała. Bronilem się przed tym, gdyż sprawiało mi to mękę, zwłaszcza że jestem oczywiście za szeroki i mam krótkie, gęsto obrośnięte nogi. W takich chwilach daleki byłem od odczuwania szczęścia, chociaż mówiła do mnie o swojej miłości, powtarzając szybko po kilka razy „kocham, kocham, kocham, kocham”, ale jednak postanowiłem jakoś to tłumaczyć moim niezrozumieniem i nieumiejętnością dostrzegania w tym szczęścia.

Przyjazd inżyniera Romanka, który w pierwszym momencie pogrążył mnie w rozpacz, następnie zacząłem traktować jako przynoszący ulgę. Czas wolny skupiałem na zastanawianiu się nad wszystkim oraz na wytężonej nauce. Jednak to uczucie ulgi szybko a dokładnie następnego dnia opuściło mnie, ponieważ powrót do poprzedniego życia okazał się niemożliwy, tak mnie już pochłonęło to, co ją otaczało, byłem napełniony uczuciem bezsilności, ponieważ nie umiałem wybrać słusznej drogi postępowania, a jednocześnie z miłością dręczyło mnie moje postępowanie wobec Romanka, którego twarz, chociaż miałem przed oczami jego zdradę, pojawiała się przede mną często, i wyobrażałem sobie, jak by się krzywiła z bólu, gdyby się dowiedział albo zorientował w sytuacji. Po upływie następnych czterech dni inżynier Romanek nagle pojawił się przy mnie w zakładzie. Rozpoczął rozmowę od pasów do skrzyni biegów. W związku z reklamacjami przechodziliśmy ponownie na stary sposób bez pasków i inżynier wypytał mnie o zdanie sugerując, że lepiej dawać dwa kroki do tyłu aniżeli jeden naprzód, jednak za długi. Po chwili takiej wymiany wziął mnie na bok ze słowami: – Mam do was, kolego Czesławie, parę słów. – Udałem się za nim pod okno, czując osłabienie i nie łapiąc pełnego oddechu. Postawiłem parę kroków i zatrzymałem się przy inżynierze pod dużym oknem wychodzącym na oddany do użytku nowy skwerek, przy całym napięciu odczuwałem jednak i nadzieję, że się musi wszystko zadecydować, skłaniając się do poglądu, że to ona, nie mogąc wytrzymać dramatycznego napięcia, wyznała Romankowi całość, tak więc czeka mnie już tylko przeżycie kilku najbliższych chwil. Z tą myślą oderwałem oczy od wypoczywających na skwerku osób i przeniosłem je na inżyniera. Tymczasem on rozpoczął pytaniem, co się właściwie ze mną dzieje. Dodał, że opuściłem się w nauce i zachowuję się w nowy, dziwny sposób, tak jakbym zmienił się nie do poznania. – Co to jest, może baba jakaś? – trącił mnie w bok i roześmiał się, po czym upomniał, że: – Z babami trzeba ostro, inaczej są kłopoty. – Słowa jego dochodziły do mnie jakby przyduszone, zza gęstej waty, a wyraz twarzy inżyniera rozplywał się, co było wynikiem naprężonych nerwów. – No, trzymajcie się, trzymajcie – dodał jeszcze klepiąc mnie inżynier, po czym oznajmił, że wyjeżdża zaraz na tydzień z wizytą zagraniczną do bratniego resortu i że jak wróci, to ze mną pogada szerzej.

Po tej rozmowie długo przebywałem pod kocem na amerykańce, zanim powziąłem decyzję pójścia do domu inżyniera. Dopiero po upływie kilku godzin poszedłem, jednak to już odbiegało od uczucia, z jakim przygotowywałem się na poprzednie odwiedziny. Błyskały mi myśli smutne, przy czym uczucie żalu utrwaliło się.

Dopiero po długiej chwili jej nie ukrywana radość z mojej wizyty oraz liczne pieszczoty oddaliły wyrzuty sumienia przywracając uczucie szczęścia. Znowu otoczył mnie tamten świat, pięknie zapaliła się czerwona lampa tworząc harmonię z jej szlafrokiem tego samego koloru, a dookoła odezwały się afrykańskie odgłosy.

– Po co mieszać do tego Afrykę? – Typowe omamienie i zła wola. – Ja już przewiduję końcowy wynik. – Niech się przyzna do wszystkiego. – Gdzie w nim był instynktowny opór? – Jednak kiedy dowiedziałem się, że jest mężatką, to się opanowałem. – Gdyby inżynier dowiedział się o wszystkim, mógłby popaść w depresję. – Jego wykształcenie kosztowało państwo pół miliona. – Jednak miłość jest piękna. – Oczywiście nie taka. – Ile osób w tradycji złamała miłość! – Przykładami można by sypać jak z rękawa. – Choćby taki pisarz, którego nazwisko wyleciało mi z pamięci, albo inny. – Niech się przyzna, to mu pomożemy. – Zatraceniec erotyczny.

Jednak ona, mimo że okazywała mi wielką serdeczność, nadal odmawiała zgody na przeprowadzenie rozmowy z Romankiem. Upierałem się przy tym przez dłuższy czas, leżąc koło niej na dywanie, przy czym spostrzegłem, że nie była jak zwykle rozebrana, ale miała rozciągliwe majteczki z elastiku w kolorze czarnym.

Następnie oświadczyła, że jej znajoma opowiedziała, że sprawiło jej to ogromną przyjemność, kiedy znajomy podarł jej majtki na strzępy. Ja nie ukrywałem dla tego typu zachowania swojego zaskoczenia i zwróciłem uwagę, że majtki takie są potem kompletnie do wyrzucenia, ale ona zaprotestowała nastawiając jednocześnie nową płytę i dodała poufnym szeptem, że kupiła ją z myślą o mnie. Ciang, ciang – rozległy się dookoła denerwujące odgłosy, a ona dalej mówiła posługując się szeptem, że wie dobrze, że ja mam ochotę, aby podrzeć na niej te nowe majtki na strzępy, i że jeżeli tak bardzo tego pragnę, to właśnie mogę to uczynić, bo tak właśnie lubią zachowywać się mężczyźni tacy jak ja, prawdziwi, a nie tacy jak Artur. Ja jednak nadal protestowałem, ale ona oplatając się dookoła mówiła: – No, rób to, rób to! – a kiedy nadal wymawiałem się nie widząc w tym żadnego sensu, powiedziała ze złością, że w tych sprawach trzeba być szczerym, żebym odrzucił całą nabytą sztuczną kulturę i że łóżko, a w naszym wypadku podłoga jest jedynym miejscem, na którym możemy się zachowywać autentycznie. Więc żebym rozpoczął drzeć. Ja jeszcze nie chciałem, mówiąc, że to ładnie, że ona chce się pozbawić dla mnie nowych majtek, ale popatrzyła wtedy z takim wyrazem, że już nic nie mówiąc szarpnąłem za majtki do siebie. Jednak uczyniłem to za słabo, rozciągając tylko gumkę, która powracając uderzyła ją po brzuchu. Wydała okrzyk, więc ja mówię, żeby sama może zdjęła, a ja podreć potem, ponieważ ręce mi się trzęsą ze zdenerwowania i nie mogę tego robić dobrze. Wtedy krzyknęła znowu, więc szarpnąłem za nie mocno raz i drugi i wreszcie materia pękła trochę na górze, a potem w ogóle ustąpiła. Ona przytuliła się z szeptem, żeby dokładnie, całkowicie, na strzępy. Przy czym powtarzała pytanie: – No co, no i co? – Ja wtedy, przeżywając chwilę zupełnego zablakania, zdecydowałem się i opowiedziałem wszystko o brunetce i o Romanku, czym, jak zwróciłem od razu uwagę, nie okazała większego przejęcia, a nawet, o ile ono było, to ukryła to tak w sobie, że nie mogłem niczego zauważyć. Powiedziała tylko: – Ach, to ta! Biedny Artur, co on w niej widzi? – a kiedy ja na to z goryczą zacząłem tłumaczyć, że to jest chyba powód do rozwodowej sprawy i że ona takiego traktowania przez inżyniera nie będzie znosić, powiedziała, że wróca jeszcze do tego, ale na razie ta sama znajoma powiedziała, że jej to sprawiło ogromną przyjemność, jak jej znajomy mówił jej brzydko. Pogrążony w rozpaczliwych myślach i zupełnie pozbawiony zastanowienia i równowagi brakiem jej reakcji na zdradę inżyniera Romanka i całym zachowaniem, odpowiedziałem, że nie rozumiem w ogóle, o co jej może chodzić, ani nie chcę zrozumieć, ani przyjąć żadnych szerszych wyjaśnień. Sformułowałem to z zamierzoną celowo oschłością. Ona jednak zareagowała przeciwnie, niż oczekiwałem, bo przytuleniem i dalszymi namowami, takimi jak: – No brzydko..., no przecież wiesz... – i dodała, że mogę sobie pozwolić na wszystko, bo na pewno znam różne takie przekleństwa, bo ona wie doskonale, że my, czyli robotnicy i technicy, w takich mieszkaniach jeszcze nie powykańczanych i nie oddanych do użytku lokatorom, siedząc nad wódką, urządzamy tam przyjęcia z kobietami i że ja na pewno brałem udział w takich rozmowach, gdzie właśnie robotnicy albo technicy mówią o swoich kobietach. I dodała: – No, jak wy je nazywacie? No, przecież wiem, no, mów... Jednocześnie wtuliła się we mnie bardzo mocno, zamykając mi zęby na ramieniu. – No, du... no, ja wiem – dyszała do mojego ucha, abym nie bał się i wyzwolił siebie, po czym oświadczyła, że wie, że o nich mówimy dupy, i że ja też, jak od niej wracam tam do nich, to mówię, że mam: – No, du...no? – na co przerwałem oświadczając, że mówi nieprawdę, że ja nigdy, bo to jest zupełnie niemożliwe, nigdy tak nie mówiłem i nie będę tego robił, że jeżeli już ona chce, dodałem widząc wyraz jej twarzy, że jeśli o to jej chodzi, to wolę już drzeć jej majtki tak jak poprzednio, natomiast tutaj zajmę zdecydowane stanowisko. Ale ona nie poświęcała mi żadnej uwagi, tylko kołysząc się na mnie, przytulona dokładnie, powtarzała jakby w oszołomieniu: – Ja wiem, co wy następnie mówicie... że co z nimi robicie... mówicie, że je... no? – i nalegała, abym uzupełnił, gdyż ona wie, że ja to uwielbiam, jakkolwiek na razie sobie tego nie uświadamiam widocznie, ale że mnie od tego skrupowania wyswobodzi. Dodała jeszcze, że ta znajoma mówiła jej także kiedyś, że jej to sprawiło ogromną przyjemność, jak ją inny znajomy w czasie trwania miłości bił, przy tym, żeby oczywiście to miało wartość, należy bić umiejętnie, najlepiej jest bić po udach albo też po plecach, co zresztą zależy od aktualnej sytuacji, czego wysłuchiwałem z uczuciem niewiary i niezrozumienia, jednak kiedy próbowałem jej przerywać, to nie dawało wyników, i doprowadzony do zupełniej utraty kontroli nad swoim zachowaniem uderzyłem ją ręką, niemocno zresztą, po twarzy, co było raczej odepchnięciem głowy, która z tym wszystkim przytulała się do mnie. Następnie zobaczyłem jej zaskoczenie, po którym powiedziała: – Czekaj, głuptasie, nie teraz.

W następnej chwili wybiegłem z mieszkania z rozpaczą, że podniosłem rękę na nią, która zajmowała wszystkie moje uczucia, i na kobietę, z czym nie mogłem się pogodzić ani sobie wybaczyć, jakkolwiek mógłbym mieć powód zdenerwowania.

Biegałem po mieście do utraty oddechu, co często robiłem przy wyjątkowo silnym wzruszeniu, jednak nigdy nie doprowadziłem się do takiego wyczerpania. Zauważyłem to z wysiłku przy wchodzeniu na schody, zanim nareszcie położyłem się na amerykańce i nakryłem kocami łykając proszek. Jednak moment ulgi nie nadchodził. Ciało miałem jakby porozdzierane na różne części, tak że na przykład nie mogłem utrzymać dygocącej nogi. Podniosłem się spod koców, odkryłem i wstałem, bo mój stan nie uległ poprawie, chociaż teraz biegałem po pokoju od drzwi kuchennych do okna, odbijając się plecami to o jedno, to o

drugie, przy czym niedużo brakowało do zagniecenia kanarka, któremu ostatnio w chwilach szczęścia pozwalałem opuszczać klatkę, aby polatał po pokoju. Wyteżając silną wolę spróbowałem następnie odczytać rozdział o ogniach, jednak odłożyłem to szybko mając przed oczami dziecinne usta, nie wierzyłem, aby mogły one wydalić z siebie to wszystko, nawet uchwyciłem się myśli, że ona odegrała całą scenę żartem albo żeby odbyć próbę ze mną, jednak po krótkim czasie zarzuciłem ten pomysł. Następnie nie wiedziałem, co robić dalej. Stałem w lustrze rozmyślając, jak będę żył sam, i doszedłem do wniosku, że nie czuję się na siłach żyć samotnie powracając do dawnego stylu spędzania czasu. Odczuwałem z tego powodu strach.

– W epoce sztucznych kosmonautów! – I bombardowań w Indochinach! – Tam się podobno poprawiła sytuacja. Czytałem w tamtejszej gazecie. – Nie ma się czym przechwalać. – Innym razem opanowałem się podobnie, bo miałem żonę. – Trzeba panować nad biologią. – To daje człowiekowi sapiens przewagę nad zwierzęciem. Dziwić się młodzieży. – Swoją drogą, jak ona żyje? – Piją i wyżywają się seksualnie. – Włóczą się bandami bez biletów i kradną. – Zabrną w ślepy zaułek. – Albo spódniczki mini.

Równocześnie odnosiłem wrażenie, że moje mieszkanie skurczyło się i że ściany wywracają się na mnie, wtedy wszedłem na krzesło i patrząc na swoje ciało w lustrze mocno ścisnąłem rękę dokonując z całą siłą rozpaczliwego szarpnięcia na lewo i na prawo. Następnie rozplakałem się, ubrałem w garnitur, oblałem wodą i poszedłem do niej.